

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Joanna Kulmowa

**Wiersze wybrane
1954-1979**

Tower Press Gdańsk 2001

Copyright by Joanna Kulmowa

Naprzeciw praworządności (1954-1956)

*Nim rzekł memento –
łeb mu ucięto.*

Don Kichot

Jeśli by nawet skrzydła wszystkim wiatrakom ukreć,
nie wymrą, jak mastodonty, zmyślone donkichoty,
póki psy wyją na pełni,
póki w piasku grzebią się dzieci,
póki kot igra cieniem, który zgubił spłoszony motyl.

Więc jestem, po latach tylu nie odmieniony niemal,
i żyje mój wiemy Sancho, bo wierzy słowu patrona,
wbrew tabliczce mnożenia,
wbrew tysiącu jabłek Newtona,
wbrew temu, że wszystko wiadomo i że nic więcej nie ma.

Zwiążcie ręce wiatrakom – a oto ja idę wolny,
jak pszczoła na plastrach ulic, gdzie brak i skrawka zieleni,
i tutaj, w misie okrętu,
i tu, w suchym gardle sztolni,
na satelicie z plastiku, nad ziemią, pod ziemią, na ziemi.

Gdzie tylko promień księżycy albo kolko gazowej lampy,
gdzie chwieje się cień tak wiotki, że jest – a może nie jest,
to ja się skradam. Don Kichot, na palcach mojej szkapy,
raz jeszcze zwyciężać zło i kochać Dulcyneę.

Spotkanie w kawiarni

Spotkaliśmy się w hallu przy szatni,
właśnie oddał swój płaszcz portierowi.

– Mój syn – szepnął mi – wstąpił do partii.
Karierowicz! Mój syn – karierowicz!

Zdjął kapelusz, do lustra popatrzył,
zęby do mnie w odbiciu wyszczerzył:

– Pani wie, ja bym mu to wybaczył,
żeby chociaż ten drań w to nie wierzył...

Pomnik nagrobny

Póki żył – nikt go nie chciał drukować,
była zmowa wstydliva i trwożna.
Szczęściem umarł i opinia urzędowa
objawiła, że tak i że można.

Ozdobiono trumnę orderami,
wypuszczono inedita w obieg.
Kompetentnym z serca spadł ogromny kamień –
i zrobili z niego pomnik na grobie.

Trzy fraszki na krzyż

I

Ten dom ma w sobie coś z kościoła,
krzyżyk na każdej z czterech ścian,
a jego pan, pobożny pan,
krzyż kreśli na dziecięcych czołach.

Nawet na piersi nosi krzyż.

– A za co panu go przyznali?

– To, towarzyszeko, za to, iż
od lat wyznaję materializm.

II

Ten gość wątpliwości nie miewa,
orientacja zawrotnie wprost chyża;
wie dokładnie, gdzie prawa, gdzie lewa,
tylko wpierw musi zrobić znak krzyża.

III

Z ojca Marka – partyjnego, z dziadka Jana – ateusza,
prapradziad Juliusz zginął na barykadach Paryża,
więc trzy imiona: Marka, Jana i Juliusza
dostał w ramach tradycji. U Świętego Krzyża.

Naprzeciw praworządności

Wstyďte się, towarzyszeko Kulmowa,
że wam we łbie takie plugastwa:
„Ach, gdyby się można było przeszwarcować
przez maleńkie perskie oczko prawodawstwa!”

Nie ucieknę. Wyciągnęli na mieliznę.
W sieci praw nie znalazła się dziurka.
Brr, jak zimno w formalinie formalizmu,
pod przyciskiem ustaw, na szkle biurka!

Jak preparat pod soczewką paragrafu,
przekłuwają, przewlekają przez klauzule.
I wydało się. Quod erat demonstrandum.
Że mnie nie ma. Formalnie. Więc w ogóle.

„No i po co, Kulmowa, ten hałas?
Wyważacie otwarte drzwi –
przecież sama Kulmowa przypuszczała,
że Kulmowa jej się tylko śni!”

Chodzę, chodzę, błagam żywych ludzi:
posłuchajcie, poratujcie, litości!
Komu ja się śnię, niech się obudzi,
nie mara siły istnieć wbrew praworządności!

Pan i pies

Razem co wieczór – pan i pies.
Pan, bo pies chciał – a pies, bo musiał,
Pan się uwznioślał aż do leż,
a pies pod każdym drzewkiem siusiał.

Piesek oblewał wszelki płot,
a pan opiewał mleczną drogę.
Im wyższy pan obierał lot,
tym wyżej pies podnosił nogę.

Wracali do dom za pan brat,
szczęśliwi, choć niesyci jeszcze
Pies się na swej rogózce kładł,
a pan do rana pisał wiersze.

Tak nader ściśle nie od dziś
wiąże się życie i liryka:
pan by bez psa nie musiał wyjść,
pies się bez pana nie wysika.

Najwyższy wymiar

Najwyższy wymiar kary:
nieubłagane zegary.

Kodycył

Abym po śmierci wzrosła w cenie,
uczczą mnie godnie.
Przez milczenie.

Delikatesy niebiańskie

Na pięterku pod samymi obłokami
przez cały rok
funkcjonuje sklep z etykietami,
przed sklepem – tłok.

Ludzie ludziom pchają się na głowy,
śmiecą w kosze wypełnione po czubki,
w koszach leżą przedwczorajsze nagłówki:
„Nieomylny...” „Bezkompromisowy...”

Na parterze jeszcze dają „Liberał”,
„Dyskutanta” człek człękowi wydziera,
a już górą, gdzie dotarli ci lepsi,
błyszczą hasła: „Boże broń, ja nie krytykant”,
i „Histerię” depcze lepsza publika
oraz „Czujny znów” zawiesza na piersi.

A na szczycie stoją święci anieli,
rozsiewając niebiańską woń,
i wybrańcom dają „Semper fidelis”
tudzież – gratis – pocałunek w skroń.

Duża pauza

„Moja wina” – i na trybunie
najzarliwiej walił się w piersi.
Aż się nagle serca dowiercił
i zasluchał się: serce? u mnie?
I zamilkł...

Powitanie herosa

Kwiaty! Kwiaty! Wieńce! Bramy triumfalne!
Tonie! Tonie w szarfach i orderach!
I oddano honorową salwę –
prosto w pierś, prosto w pierś bohatera.

Nike 1956

Dzień był mdły, beznadziejnie zwykły,
szły ulicą tramwaje i wojsko,
ludzie w kioskach kupowali dzienniki
i zapalki, i wodę kolońską.

Aż tu nagle nad miastem – bogini,
zanim oczy kto zdążył przetrzeć,
skośnym lotem przez niebo jesieni,
jak dwie flagi – dwa skrzydła na wietrze.

Załopotał szum październikiem,
gapiom w głowach zakręcił wiatr
i ktoś w tłumie zawołał: „Nike!”,
i śpiewali jej wszyscy „Sto lat”.

A w ruinach jakichś innych dwóch
przyczaiło się, cmokało: „Co za puch!”
I ostrzyli długie noże o zmroku,
i śledzili, gdzie wiatr Nike poniesie,
żeby jutro w jatce na rogu
sprzedać skrzydła po złotych dziesięć.

Samokrytyk

Łapczywie rzuca na krytyki żer się –
wczoraj bił się w piersi, dziś w cudze popiersie.

Kałuże

To już akcja niepoczytalna,
tak się sobie dwoić i dłużyć!
Oto ja – Na Przekór Joanna –
uchwycona trafnie w kałuży.

Może być, że mi ziemi za mało,
chciałoby się w czwarty wymiar, na opak.
Serwus, przewrotna Annaoj,
odnóżko na moich stopach!

Na szczudliskach nóg, niby o kulach,
pasujemy do siebie, jak ulał.

To ja, głową w dół wniebowzięta,
sobie samej depczę po piętach.

To ja tam jestem Ja Niezbicie,
a tu – moje trzeźwe odbicie.

I to ja muszę przejść przez ten padół
właściwie głową na dół.

Podróż niepojęta (1957-1959)

*O filozofię mnie pytasz?
Nie mam własnego systemu.
Już najprędzej: świadek Jehowy.
Świadczący przeciw Niemu?*

Stukam, pukam

Puk, puk. Jesteś z tamtej strony chmurek?

Nie. Tam przestrzeń w górę i w górę.

Puk, puk. Może jesteś w głębi ziemi?

Nie. Tam skały i skały pod nimi.

A możeś Ty w małej cząstce zjawiony?

Nie. Tam tylko jawne elektrony.

Możeś we mnie, in medias res?

Nie. Tam tylko podświadome S.

Gdzieżeś, gdzieżeś, Budda, Allach, Jehowa?

Jaki dżin okrutny Cię schował?

Kto Cię w nicość obrócił widomie,

żeś nie ostał się, w atomie ni w ogromie?

Stukam, pukam rękami obiema,

pragnę Ciebie przeto, iż Cię nie ma.

Genesis 2

I stanie się Genesis Dwa,
i powie Bóg szóstego dnia:

Dam wam zasady święte, by słodka; wam była zdrada,
i dam uczucia, abyście zdeptali je, Hewa i Adam.
Niebo wam oddam i ziemię, i wodę, i zieleń, i słońce,
i dociekliwość oddam, niech buchną; z niej stosy płonące.
I pokora powróci, i buta. I głód, i sytość krągła.
A ty, Adam, ty bądź mężczyzną. A ty, Hewa, miej gładkie biodra.

Albo was wcale nie stworzę.
Bo mi znowu zniszczycie
wszechświat i siebie, i Mnie, który jestem wasze odbicie.

Piosenka o dziwnym ojcu

Dziwny, dziwny ojciec.

Inni w grobach na wieki wieków,
a on w ścieżkę wkopany na przekór –
nawet nie wstał się ze mną przywitać.

Tak daleko od trupów i ludzi.
Tata, piach! Tata, bo się zabrudzisz!
Leży Fredek, elegancik, sybaryta.

Dziwny, dziwny ojciec.

Chodzą krowy, głębiej go wgniatają,
a nie straszy nocą na rozstaju.
Może go nie ma?

Ani kwiatów nie rzucali, ani grudek,
krzyż ma tylko, verfluchter Jude.

Dziwny, dziwny ojciec.

Ballada o trzech ciotkach

To jest miścina w deszczu rozmokła
pełna rzeczy dziwnych i wiotkich.
To są trzy domy, to są trzy okna,
to są w trzech oknach trzy ciotki.

Siedzą i siedzą, czas płynąć nie może,
milczy zegar i dzwony na wieży.
Boże, ziewają ciotki, o Boże,
jak nam się nudzi nie żyć!

Ciotka Idalia ma zapach cytryn,
są u niej morele w ogrodzie,
mrok fioletowy, gęsty i przykry,
jak kocur za nią chodzi.

Tyle koronek ma ciotka Lenora,
różową, mydlaną sypialnię,
różowe światło w różowych storach
samo się do niej garnie.

Ciotka Dorota – jak srebrna świeczka,
jej płomyk drga jak westchnienie,
w tym dużym domu, gdzie ona mieszka,
klęczą po kątach cienie.

Ach, żeby nie wiem jak która chciała,
nie wiem jak zła była na mnie –
tkwić muszą w oknach jak w futerałach,
trzy stanę kalkomanie.

Boże, o Boże, głupie ziewanie,
cioteczki, nicość przed nami:
kiedyś wyjdziecie na powitanie,
znikniemy za trzema oknami,
ciotka Idalia,
ciotka Lenora,
ciotka Dorota –
i ja.

Monolog somnambuliczny

O, nie zbliżaj się, nie odchodź.
nie mów, nie milcz nadaremnie,
bo zbudzi nas jedno słowo
i milczenie,
i milczenie.

Widać, jesteś, skoro jesteś,
widać, ty nas śniesz, a nie ja,
widać, tyś mnie poznał we śnie,
nie ja ciebie znam z marzenia.

Jeśli tobie się przyśniły
nasze myśli, nasze cienie,
to mnie nie budź, nie budź, miły,
bo mi przewiesz nieistnienie.

Jeśli ciebie śnię jedynie,
jeśli mnie się sen twój roi,
to rozwieję cię, zabiję
w nagłym przebudzeniu moim.

Może jestem, pókiś ty jest,
może trwasz, dopóki śnię się,
i dwa wiotkie sny niczyje
w cztery strony dzień rozniesie?

Czy się tobie śnię, jedyny,
czy ty mnie, jedyny, śniesz się?
Z czego w co się obudzimy?
Z życia w śmierć?
Ze śmierci w życie?

Rozmowa

Potoczyła się milczkiem, bez słowa,
bardzo niema, bardzo dziwna rozmowa.

Zgodna była, to znowu wykrętna,
zwyciężały dłoni argumenta.

Mówił palców dwugłós rozpełzany
nie tak, nie tak, ciągle głodny odmiany.

Naszeptało się ciało z ciałem,
aż krzyknęły bezgłośnym finałem.

I nie miały prócz grozy milczenia
nic ponadto, nic do powiedzenia.

O Chiquicie urojonej romanca

Gdzie księżyc blednie na niebie i noc uchodzi wygnana,
donia Chiquita wymyka się z objęć Don Juana,
i próżno biedny Don Juan błądzi przez mroczną aleję,
o świcie musi odejść wszystko, co nie istnieje,
tak mówi romanca.

I jeszcze za dnia Don Juan marę Chiquity goni,
uwodzi donię Annę i tysiąc innych doni,
i kocha, i porzuca, i pieści niespożyty,
z żalu za nocnym odejściem nie istniejącej Chiquity,
tak mówi romanca.

Donie! On czeka tylko, by noc was okryła przyjazna
i z mroku wylęła się ta, której przenigdy nie zaznał:
pierwsze zakosztowanie, grzeszne zaspokojenie,
młodzieńcza donia Chiquita, która jest nieistnieniem,
tak mówi romanca.

Skąd siła Don Juana? Z szukania. Skąd męskość? Z pogoni.
Żadna nie jest Chiquita i żadna nie wie o niej.
Każda by chciała nią zostać, by na nią wejrzał łaskawiej,
a przecież, żeby nią być, musiałyby nie być na jawie,
tak mówi romanca.

Gdzie księżyc blednie na niebie i donie się budzą przed świtem,
Don Juan w ich oczach widzi uciekającą Chiquitę,
wtedy o pierwszym brzasku wymyka się z żywych objęć
i goni daleką Chiquitę, którą ma tylko w sobie.
Tak mówi romanca.

Tytaniczna o Spodku ballada

Tak. To widziała noc wąsami ćmy
i księżyc słyszał skrzydłem nietoperza
i dotykały nas wilgotne mgły
i półmrok lekki ponad nami leżał
i czerwiec elfom krzyczał po zaroślach –
o Spodku Spodku kwintesencjo ośła!

Tak. Twoje prawo przedrzeźniać mój sen
a moje prawo śnić żeś u mnie w łaskach.
Teatr teatrów jesteś. Scena scen.
Pretekst miłosny. Udanie i maska.
I urok niby. I niby zaklęcie –
o Spodku Spodku ośle wniebowzięcie!

Tak. Przymuszonej wolno wiele chcieć.
Wolno jej kłamać bardzo niekłamanie
by wyniknęła z tego szorstka sierść
i pysk bydlęcy i tępe kochanie.
Chcieć nieprawdziwie – zbyt prawdziwie chcąc.
O Spodku Spodku ośle moich żądz!

A ja czekałam żeby wreszcie tak.
Na ciało brzydkie. Na ciało kosmate.
I ani motyl żeby – ani ptak –

a świętokradztwo rozgrzeszone kwiatem.
I ani winy przy tym ani skruchy.
O Spodku Spodku grzechu kłapouchy!

Tak. Niechaj wierzy oszukany świat.
Tak. Tak. Niech dufny Oberon chichocze
nad najzdradliwszą z wymarzonych zrad
nieurojoną jadem zauroczeń.
Krzyczmy ją – krzyczmy nocom i księżycom
Spodku mój! Słodka ośła tajemnico!

Ballada o manekinach

Kiedy wieczór gwiazdy zapalił
i księżycem przemknął po witrynach,
to zachciało się fryzjerskiej lali
krawieckiego skusić manekina.

Uśmiechała się coraz wypukłej
malowanym serduszkiem ust,
aż udało się bezgłowej kukle
na beznogi przewrócić biust.

Nie dopieści się bryła z bryłą,
kiedy każda nazbyt niecała:
ona była tam, gdzie jego nie było,
gdzie on sięgał – ona nie sięgała.

Chciała kochać dobrze, nie fryzjersko,
chciała tulić tam, gdzie bywa łono,
i płakała rzęsami niebiesko,
i krzyczała wargami czerwono:

„Ty kanciasty, ty kwadratowy,
do miłości trzeba obu ciał!”
A on na to: „Byłby zawrót głowy,
gdybym miał tę głowę, gdybym miał...”

Tak leżeli razem i gdzie indziej,
przez noc całą w nie spełnionym grzechu,
nie spotkawszy się nigdy i nigdzie –
śmiej bez ciała, ciało bez uśmiechu.

Ballada o upadłym aniele

Gdy kogut już hasło wykrzyczał i odzew
i gwiazdy zmęczone poblady,
ja taką zanucę wam pieśń ku przestrodze:
był anioł,
był anioł
upadły.

Stał niegdyś z lilią wśród świętych rzeźb grona,
niewiele z tych czasów pamięta,
już tylko cień wspomnień pozostał – i ona:
liliją
liliją
zwiędnięta.

Bo przyszedł tam rzeźbiarz, szatański Pigmalion,
i szepnął: „Aniele, pójdz ze mną!”
I zdjął z postumentu, i powiódł hen w dal ją,
gdzie było,
gdzie było
dość ciemno.

Od stóp aż do nimbu ją pieścił, a potem
wyrzucił na bruk, tak jak stała.
Odnowił ją wprawdzie, lecz zabrał jej cnotę.
Nic więcej,
nic więcej
nie miała.

Nie mogła powrócić do swojej kaplicy
na dawny postument kamienny.
Niestety, to nie był już stan anielicy,
lecz nieco,
lecz nieco
odmienny.

I odtąd jej życie to zbrodnia za zbrodnią,
fatalny ciąg skutków i przyczyn;
zmuszona swe ciało sprzedawać przechodniom
sączyła
swoją kielich
goryczy...

A kiedy przekwitła niebiańska uroda –
kupiła straganik i stółek:
sprzedaje obrazki w kaplicy przy schodach,
gdzie była
przed laty
aniołem.

Parasole

Parasole nigdy nie mówią: „Jak dzisiaj strasznie pada!”
Ledwie zapachnie deszczem, wzlatają w czarnych stadach.
Niech tylko zbierze się trochę chmur,
kracząc wyfruwa parasoli sznur.

I małe parasoleta, co ledwie wykluły się z jajek,
marzą o takim deszczu, co nigdy nie ustaje.
Siedzą w gniazdach, patrzą na błoto
i radośnie ćwierkają: „Potop!”

A po deszczu na płacz im się zbiera i ronią kropelki wody,
kiedy tak tęsknią, zeschnięte, do pięknej BRZYDKIEJ pogody.

Szyny

Szyny biegną, nie pytają, dokąd, po co,
jak tu wymknąć się nasypom, co je więżą,
a to dróżnik gra na flecie nocą,
niby fakir uśpionym węzom.
One słyszą, że muzyka je woła,
wstają, srebrne zataczają koła,
potem idą tam, gdzie flet – szczurołap.
Jutro dadzą się zaplatać zwrotniczym,
jutro brzuchy nadstawiają podkładom,
z pociągami w różne strony pojedą,
nie pomyślą już nigdy o niczym.

Wagony

Tam, gdzie się wszystko kończy, a jeszcze więcej zaczyna,
jest łąka takich wagonów, co już nie jeżdżą po szynach.

Tam się po dniach całych pasą
pierwszą, drugą i trzecią klasą.

Potem czytają gwiazdy,
jakby to był ich rozkład jazdy.

I choć nigdy nie mówią o tym,
kiedy kładą się do snu zmęczone,
wszystkie długo patrzą w jedną stronę,
skąd słyszeć gwizd lokomotyw.

Zegary

Zegary? Nie wierzę zegarom. Ja widzę, co się święci:
ktoś wszystkie zaczarował, na jedną godzinę nakręcił,
kazał chodzić równo, miarowo, przedrzeźniać jedne drugim;
żeby paplały to samo, jak wyuczone papugi.
Zegary? Nie wierzę zegarom, nigdy wierzyć nie będę.
Czas nie podlega takim, co biją na komendę.

Buława

Panu Jackowi Woszczerowiczowi

Popod wierzbą szumiącą nikomu
usiadł żołnierz, co szedł z wojny do domu.

Cieniem Sobie podścielił rad nierad –
sen mu ciąży, a i głód mu doskwiera.

Chciwą rękę na dno torby zapuści,
a tu jak coś nie wybłyśnie z czeluści!

Nie chleb to był, do którego nawykł:
po chleb sięgnął, a dosięgnął buławy.

Skądżeś mi się tutaj wzięła, powiedz?
Jazem myślał, że mam w torbie razowiec.

A tyś jeno pozłacana bieda,
ani ciebie kto ugryzie, ani sprzeda.

Coś mówili mi o tobie, nie pamiętam.
Tyle wiem, żeś naciążyła mi, przekłeta.

Poganiałaś mnie po plecach w marszu,
że musiałem iść przed siebie i naprzód.

Teraz już ja nie żołnierz, a wojak:
pójdziem z tobą pełnić urząd, nie moja.

*

Te, marszałku, gdzieżeś ukradł buławę?
Powiadają, że masz buty dziurawe.

Te, marszałku, grzbiet nagi przyodziej!
Powiadają, żeś buławny złodziej.

Te, marszałku, ciąży ci złota pałka?
Powiadają, żeś nią zabił marszałka.

Będą pytać przed samym burmistrzem:
„Skąd ją masz?” „Znalazłem w tornistrze.”

Będą pytać i męczyć próżno:
„Skąd ją masz?” „Od siebie, zasłużną.”

Te, marszałku, nie kłamże, na rany!

Będziesz wisiał na buławie, w krzyż związany.

*

Popod wierzbą, szumiącą nikomu,
siedzi żołnierz, a nie wraca do domu.

Na coś mi się wzięła, marszałkowska?
Ciężka jesteś, jako moja troska.

Teraz już ja na krok się nie ruszę,
boby z tobą od stryczka nie uszedł.

Nim obwieszą mnie za twoje złoto,
zasłuż mi się zbójcecką robotą.

Że mi ciebie zamiast chleba przydano,
tańcuj po łbach marszałkom i panom.

I wytańcuj im śmierć bardzo krwawą,
własna moja żołnierska buławo.

Miarą wszechrzeczy jest człowiek

Odmierzyłam sobą wszechrzecz – na nic próba się nie zdała:
nie starczyło na przymiarę ani myśli, ani ciała.

Skroś przez rzeczy, wzdłuż kosmosem, nie łączywie, a do woli:
to obszerny, aż mnie zbywa, to uwiera, aż mnie boli.

Możem ja za mało człowiek, by mnie wszechświat w siebie ujął?
Może nie znam matematyk, co do ludzi rzecz stosują?

Więc drwi ze mnie niezmierzone ni to zgrozą, ni zachwytem.
Panie Krawcze, Twoje światy nie na moją miarę szyte!

Prometeusz

Moknie cień po próżnicy, cieknie cień po kałużach,
wiatr mu kołnierz paltota podniósł.
To się skraca pod lampą, to za lampą wydłuża.
Dokąd idziesz, późny przechodniu?

Idę pewnie donikąd, bo mi nigdzie po drodze,
nie chcę być, skoro nie ma nadziei.
W taką pluchę?

Odchodzę.

W takim płaszczu?

Odchodzę.

Cieniu, zaklinam cię, nie idź!

Ty mnie znasz?

Promienisty.

Jak odgadłeś?

Z iskrzenia.

Żaden deszcz nie ugasi mnie już.
Ogień we mnie i za mną. Nie okiełznam płomienia.
Tedy idę.

Zostań, Prometeju!

Zostań, jeszcze tak ciemno!

Dawno pora, bym odszedł.

Po tym deszczu, po nocy?

Tak. Bywaj!

Muszę uciec, ucieknę, nim się stanie najgorsze:
nim świat spłonie od mego łuczywa.

Kompleks niższości

Dopiero w drewnie
poczuję się pewnie.

Kompleks wyższości

Męty – mówili – dno!
Dziesiąta woda po!
Lżyli i pluli w głębinę
A jednak pływę.

Kompleks nicości

Kiedy nas Bóg powoła na wieczność nieistnienia
patrzac na swoje szkielety umrzemy z przerażenia.

Niebo nagle

Ktoś po nocy przez zamysł prostaczy
z nagłą niebo, jakim jest, podpatrzył.

Takie było wszelkiej barwy pozbyto,
ze się zdumiał jego bezbłękitem.

Chce się modlić – jeno spluwa za siebie:
przecie święci są w niebieskim niebie.

Boga wzywa – a modlitwa rwie się:
przecie Pan Bóg jest jeno w niebiesiech.

Rankiem błękit się rozpostarł na ścieżaj –
ale on już temu nie dowierzał.

Życ mu próżno – a i umrzeć daremnie:
dokąd pójdzie, skoro tam jest ciemniej?

Panu Bogu kolęda

*Żydowski Ponjezus,
malucki, nieduży,
siedział na przypiecku,
fajecke se kurzył.*

Siedzi Panbóg na niebiesiech, kiwa się
zamyślony Żyd brodaty na szabasie.

A u boku Panaboga Matka Boska –
czarnooka smężna Małka żydowska.

I zawodzi żałośnie Dzieciątku –
pejsatemu, rudemu Żydziątku.

„Ajaj, mały Mesjaszku, Boże Dziecię,
a i po co żeś się rodził na tym świecie?”

Już się ludzie rozpytują, a gdzie Ty,
już szykują Tobie pałki i kastety.

Nie uciekniesz, obrzezany, poznają Cię,
między łotry, nieczystego, powieszą Cię.

Aj, gwałt, Syneczku, znikąd nadziei,
czemu Ty się narodziłeś w Judei?

Teraz już nie pora płakać, sza, cyt!
I sam Tatę nie pomoże — bo Żyd!...”

Nadzieja

O nieba, co za purpura,
chmury przez czerwień wplaw,
rude liście – spłoszone kury,
klomb – nastroszony paw.

W rozwarte dłonie drzew
kapie z konaru na konar,
To krew, to krew, to krew,
bój się Boga, uciekaj, Zielona!

Na głowie błazeńska czapka,
na czapce dzwonków zgrzyt.
Przebrana sobie na wstyd
pstra cudaczka, brzemienna matka.

Za tobą tłumy w alejach
śmiechem cię będą gnać:
„Cha, cha, cha, taka mać!
Matka głupich. Nadzieja!”

I uragać będą tobie, źli,
i błotem, i śniegiem w twarz:
To twoje idee, masz!
Co – lepią się od krwi?
Patrzcie, jeszcze jej nie dość!
Patrzcie, jak śmiesznie ucieka!
No, papugo, powtórz swoje credo:
„WIERZE, WIERZE, WIERZE W CZŁOWIEKA!”

A gdy legniesz, zgoniona, w rowie,
to o zmierzchu czerwonego dnia,
ten, w którego wierzyłaś – człowiek –
przyjdzie, będzie mówił: „To ja.

Ucisz serce – zielony liść!
Niechaj gardzą tobą, niech się śmieją,
ja – nie umiem bez ciebie żyć,
matko głupich,
moja matko,
Nadziejo”.

Podróż niepojęta

O dwa gwizdki i o jeden turkot
jest przy drodze w jarzębinach podwórko.

Z tych jarzębin wyjdzie chudy zwrotniczy
i patykiem na piasku wyliczy.

W jarzębinach, za trzecim zakrętem,
podsumuje liczby niepojęte.

Potem nogą znaki z piasku zetrze
i nastawi równolegle w przestrzeń.

Dla pozorów semaforu zieloność,
ale szyny na plus nieskończoność.

Na plus minus, na pi razy oko,
żebym tłukła się nie wiedzieć dokąd,

coraz prędzej, do pustki, donikąd,
na pociechę abstrakcyjnym dróżnikom,

postukując w obłąkanych wagonach –
jeszcze jedna liczba urojona.

Chagall

(1959-1960)

*Być albo nie być? Serce wybrać nie śmie.
I muszę być i nie być jednocześnie.*

Chagall

Narieczona, narieczona.
patrz, osiołek rzy na łące.
Ja nie pójdę, tam trzy świece,
trzy anioły spadające.

Nie czekajmy ani chwili,
niebo z deszczu wieńce wije.
Duszno tutaj od motyli.
Jeszcze żyjesz? Jeszcze żyję.

Narieczona, narieczony,
mnie przygrywa zmarły Herszel.
Straszno bywa w tym miasteczku.
Jeszcze żyjesz? Żyję jeszcze.

Chodź do nieba. Tam odpoczniesz.
Tylko nie patrz. Tylko nie myśl.
Polecimy skośnie, skośnie,
aż się nigdzie nie znajdziemy.

Żółty pokój

Żółty pokój –
z żółtych ścian żółty niepokój.
Rozkrwawiona ulica –
żółta głowa ciąży do księżyca.
Przeszukajcie żółty zakątek –
tam leży spokój
pod sierścią żółtych cielątek.

Fragment

Co ty myślisz, zwierzu, gdzie się gapisz,
śmiechu wielki, smutku niewymierny?
Czy chimera jesteś, czyś ty Apis?
Czyżeś ochłap trefny czy koszerny?

A ja wiem, a tego nikt nie wie,
i niech to się przed ludźmi nie wyda,
że w pysk biały cię ujęli i w czerwień,
żebyś im nie wyglądał na Żyda.

Teraz rechocz, nieprawy turoń,
na obrazę łotrom i rzeźnikom,
a nad nami łzę nieludzką uroń,
albo drwij z nas, miłosierny święty byku.

Pogrzeb

Żydkowie, Żydkowie, co wy tam wieziecie?

– Aj waj, wieziemy tam umarłe dziecię.

Podkówkami stuka wesołe źrebię.

– A ja szczekam umarłemu na jego pogrzebie.

Na drewnianej desce wiozą nieboraczka.

– A ja płaczę umarłego, bo ja jestem płaczka.

Za ten mur powiozą i wyrzucą w dół go.

– A ja lampę mu zaświecę, czerwone kółko.

W nocy

Noce gasną, a lampa świeci,
na uwięzi nas trzyma wbrew nam,
że musimy stać sobie naprzeciw:
ty zielona narzeczona z drewna,
ty zielona,
ja różowy woskowy,
w krążki oczu na darmo wpisani,
my wierzymy tylko wzajem w nasze głowy,
poza siebie nie patrzące za nic.
Tutaj lampa, tu nasz strach na ziemi,
gdzie nas nie ma od niepamięci,
gdzie musimy, narzeczem urzeczeni,
w kółko drętwe, drętwe kółko się kręcić.

Święty woźnica

Spadłem, widzicie? Spadłem, i tylko Bóg był przy tem,
i szybko wkreślił mnie w biel zielonym meteorytem.

Bo wierzgnął stół pański w niebiesiech i rzucił powietrzem wpływ.
Długo, długo się spada, dzierżąc tablice praw.

To pewnie ziemia, dla której święci te prawa pisali,
i znajdą mnie jutro ludzie, i będą poszturchiwali.

A tam, za gwiazdami, cerkiew węży nozdrzami okien,
dziwno mi, bardzo dziwno, że będę jej prorokiem.

Trudno uwierzyć, że aniołem jest się w połowie,
rogi mając nad czołem i takie oczy krowie.

Umarły

Wszystkie drogi się za mną zawarły,
a ja leżę na tych drogach umarły.

Wszystkie za mną pogasili chaty,
nie stłumili błysku jednej łopaty.

Poświecili świecami u głowy,
będzie widać, jaki jestem woskowy.

Tak zrobili, że mi zimno i ciemno,
dobrze jeszcze, że kolory nade mną.

W jednym bucie, w malowanym, zapląsam,
kwiaty z okien niby gruszki pootrząsam.

Czerwony kogut

Jeszcze nie jestem kogutem jak ty –
jestem pajac w śmiesznym kabaciku –
a już umiem przefruwać ponad moje sny
wesołym ptakiem krzyku.

Ech, przed siebie, ani w tył, ani w bok,
bo mnie goni od chmur do chmur
mon coq rouge, mój krasnyj pietuszek,
krwią i wrzaskiem napęczniały kur.

Piej pode mną, jak skrzypce, przez wieczność,
aż się ziemia wokół nas rozrusza,
i schwytam się pod drzewem, drzewem ostatecznym,
w najczerwieńszych naszych kapeluszach.

Matka

Ona zdjęła właśnie perukę i ona leży w ciszy,
ona wie, że oprócz koloru jej się nie wskrzesi niczym.

A kolor żółty, słoneczny, jakżeby mógł być inny:
w koszach u starych Żydówek leży się żółte cytryny.

I kwiaty wilgotne i smutne leży się na tapecie,
innych kwiatów nie było w żadnym getcie na świecie.

Ona po kwiat nie sięgnie i po cytrynę nie sięga,
to widać po czole smutnym i żółtym jak święta księga.

Bo cytryna się zesycha, i kwiat, i człowiek nie ujdzie cało,
i żółte żydowskie matki słońce na zawsze wyssało.

Więc wygniotła dołek w piernacie i w tym dołku ona sobie
matka, zeschnięta poczwarka, na wieczne odpoczywanie. zostanie,

Zielony rabin

To, co mi dał Jehowa,
to omszała zielenią głowa.
A ja krzyczę płonącym włosem:
„Będzie! Będzie ogień przyszłych wiosen!”

O! Czytajcie słowa moich ksiąg!
To jest mój jedyny dalszy ciąg.

Narodzona z protestem **(1960-1962)**

*Chrystusa na krzyż wyniesiono.
Jak Boga wynieść wyżej?
Nie rodźcie się, bogowie.
Nie starczy drzewa na krzyże...*

Muzykanci na gruszy

Muzykanci na gruszy
grają z całej duszy,
wiatr chwieje nimi.

Pięciu było w kapeli,
Bogu i ludziom klęli.

Skrzypek – królom rozpustnym,
trębacz – biskupom tłustym,
bęben – wodzom zawziętym,
klarnet – niebieskim świętym,
a flet – Panu nieba i ziemi.

Mówiono, iżę mącą Panu Bogu wodę,
powieszono za szkodę.

Powieszono ich na gruszy nad miedzą,
więcej graniem Bogu, ludziom nie powiedzą.

Muzykanci na gruszy
grają z całej duszy,
błuznią martwi i niemi.

Skrzypek – królom rozpustnym,
trębacz – biskupom tłustym,

bęben – wodzom zawziętym,
klarnet – niebieskim świętym,
a flet – Panu nieba i ziemi.

Słysząc granie jakby zewsząd, a znikąd,
obrodziła latoś grusza muzyką.

Jest po śmierci taka siła w człowieku:
granie, granie wszystkiemu na przekór.

Muzykanci na gruszy
grają z całej duszy,
wiatr chwieje nimi.

E pur si muove

Gdyby tak nowy przyszedł znowu,
to znów by uwierzyli słowu,
niepomni stosów, win niepomni,
których historia nie zapomni,
za życia by mu dali pomnik,
i ogłosili by go bogiem,
szli w ogień i rzucali w ogień,
i znowu by najwyższe dobro,
i znowu krzyż, i znowu pogrom,
i problem wiar, i problem ras,
i cud, i mit, i wszyscy święci,
i znowu trzy miliony w gaz,
i jeszcze raz,
i jeszcze raz...

NIE!
Jednak się kręci!

Do jutrzejszego

Jutrzejszy Inkwizytorze, próżno naciągasz płaszcz:
pośród zakapturzonych poznałam twoją twarz.

Próżno uśmiechasz się słodko, próżno z dogmatów drwiesz –
na twoim czole gromnica, płomienie rozchwiane, krzyż.

Mierzi de smak herezji, jak swąd płonących dał:
jak ty nas będziesz palił za to, żeś z nami się śmiał!

Inkwizytorze, wiem: jutro znowu nas zetknie los,
ażebym się dziwiła, żeś TY mnie skazał na stos.

Boże umieranie

Umarli dawni bogowie
i nie ożyją więcej.
Nie będzie Nike bez głowy,
Wenus opadły ręce.

Nie żyją, ożyć nie mogą,
obcięto skrzydła bogom.

Tak umierają i oni:
krew cieknie z rany lepka.
Tak Sziwa umierał bez dłoni,
Tak Budda umierał bez pępka.

Nie żyją, ożyć nie mogą.

A święci nade wszystko
giną od nóg i od ramion.
I Chrystus umiera, i Chrystus,
kiedy Mu krzyż połamią.

I jeden tylko Jehowa
myślał, że się uchowa.

Obcięto skrzydła bogom,
nie żyją, ożyć nie mogą.
On przeżył niejeden pogrom.

Jako że z dala obran,
On by to jakoś przeczekał –
ale uczynił człowieka
na podobieństwo i obraz.

I wedle tego obrazu
i On – poszedł do gazu.

Juda

Uwierzyłem w słowa i cuda,
nie umiałem nic, krom ufności.
Wtedy On mnie zawołał: – Juda,
ty mnie kochasz od innych prościej

Dłoń położył na mojej głowie,
mówiąc przez ciepło i dotyk:
– Wybrałem ciebie, żeś CZŁOWIEK.
Słuchaj, ryży, słuchaj, piękny z brzydoty.

– Pamiętaj, tego chcę:
ty mi drogę w męczeństwo utoruj,
nie za mną, lecz przeciw mnie
masz dokonać swego wyboru.

No i stała się śmierć Twemu ciału,
i Twój triumf, i moja wina.
Za cóż, za cóż słuchałem Twych nauk,
ach, posłuszny, miłujący człeczyna?

Więc oddawać się dla Twojej potrzeby
znaczy spodleć, znaczy znikczemnieć?
Przecż musiałem zabijać, ażebyś
mógł, Ideo, stać się sobą przeze mnie!

Łazarz

Co to?

Przedstawienie?

Żebym całun ze siebie zerwał?

„Patrzcie, jak ustępuje pośmiertne stężenie!”

A wy

umiecie stygnąć?

Wiecie, co znaczy bezwład?

Jużem w proch się obraca pomału –

ten mnie z prochu na powrót łepi.

Nie chcę waszych wytrzeszczonych ślepi.

Oddajcie całun.

Na to było konać w pocie czoła,

na to trudzić się było śmiertelnie,

by zadrwił ze mnie?

Oto, jak się obchodzi z Łazarzem

ku waszej uciecze.

Miłosiernie z umarłych wskrzesza.

Bezlitośnie dwakroć umrzeć każe.

Boża męka

Za to, że cię kochał, człowieku,
za to, że przyszedł cię zbawić,
jak to, tyle lat, tyle wieków
dajesz Mu po rozstajach krwawić?

Jak to, sam wisi, nagi, cierniowy?
Jak to, gwoździe u rąk i nóg?
Bez tych ran On dla ciebie nie Bóg?
Co dzień musi krzyż dźwigać nowy?

Wicher mrozi, słońce dopieka,
śnieg na oczy zapada bielmem.
Ciało gołe, rozstajne, śmiertelne,
kiedy zbawią cię od człowieka?

Świątki

Świątki, rozdziawione głupiątką,
świętek piątek modlące po kątkach,
wytrzeszczone, głupie na sera,
w raj, co się farbą otwiera,
złote w drewnie i srebrne w drewnie,
pacierzami zmówione rzewnie,
babki, dydki na glinianych nogach –
poklękajcie:

oto

remontują wam Boga,

oto

odzierają wasz kościół

z malowanych stuleci,

żeby jutro na wysokościach

biel,

biel,

szorstka biel wiekuista

mogła wam świecić.

Staruch

Za malowanym obłokiem pewniej mu
niż za tym z pary.

Aureola

obleci na marne dwa wymiary.

Zaskorupił się w płatach akwamaryn.

W namaszczeniach olejach włoskich.

W niedobarwach

al fresco.

Tu mu najbardziej wszechmocnie

i najdosłowniej niebiesko.

Tu się staruch może nie starzeć.

I stąd

czyni cuda cudeńka

o których głucho w trójwymiarze.

Męczennik

Ten strup musi być zdarty.
Rozdrapane
wrzody i parchy,
Hieratycznie muszę cierpieć.
W konwulsyjnym trudzić się mozole.
Bo jeśli zrzucę z siebie stygmat
ból
grymas
krzyk
śmiertelną aureolę –
to po czym poznają
żem z tych
co nigdy
nie umierają?

Salome

Janie Janie przyznaj mi się
na jakiej wolisz być misie?

Na błękitnookiej wazie z Delft
wcisnąć głowę w ramiona wiatraków?
Jakim krajem płynąć ma twoja krew?
Po różanym czy złotym szlaku?

Przez pasterki w płasach pudrowanych?
Przez płaszczyzny koloru śmietany?

A może pragniesz być saski?
Fajansowy? Renesansowy?
Może widzisz się na tacy płaskiej?
Czy dla srebra nie straciłbyś głowy?

Wymarzyłam cię na chińskiej porcelanie
nad skorupką jak kwiat wiśni cienką.
Nie chcesz umierać? Janie!
Czyżbyś nie był wrażliwy na piękno?

Linoskok

Dajcie mi sznur.
Będę po nim szedł niezachwianie.
Dajcie nitkę.
Odprawię na niej
beztroskie tańcowanie.

Dajcie brzytwę długą i ostrą.
Albo granicę cienia.
Z A do B poprowadźcie prostą,
a popląsam nią do znudzenia.

I po kresce horyzontu będę kroczył,
choćby słońce mnie biło w oczy.

Tylko ziemią chodzić nie każcie.
Tam nie grożą z obu stron przepaście.
Nic nie widać.
Nikt nie ostrzeże.
Jakby śmierci nie było żadnej.
Tam na ziemi o tyle szerzej...

O Jezu!
Spadnę!

Hiroszima

W Hiroszynie, w kadrze białej ściany,
negatywy pomordowanych,
żeby świeceki zapalano co dnia
cieniom Nieznanego Przechodnia.

Tak zwycięża antymateria –
odblask rzeczy, których już nie ma.

Na jakiej gwiazdzie zostawi swój cień
nikomu nie znana Ziemia?

Miasto

Za każdym zakrętem
niebo zapięte
na siedem żółtych pięter.

Miasto.

Czasem na murach kamienic
broczy o świetle rozstrzelany błękit
albo umiera w szybach rozkrzyżowany płasko.

I tylko tam w ruinach
otwarto oczy niewidomym ścianom,
ażeby miały niebo, które obiecano.

Diogenes

Nim w tej zmurszałej beczce
dotoczę się do końca –
nie zasłaniajcie mi słońca.

Jak Pallas z głowy Zeusa,
ona powstała ze mnie,
jest sęk żywiczny i sens
w jej sednie, omszałym drewnie.

Turlam się w dół popod zbocze,
na górę śmiechem się toczę,
przewalam się tam i sam,
larwa w zielonym kokonie,
kot w worku,
wróbel w dłoni –
trwam.

Nie umiem stanąć obok,
ja, cieśla wewnątrz domu,
tu jestem jądrem atomu,
tu w sobie sobą.

Ujęty w pięć ledwie klepek
sam siebie więzę najściślej,

sam we własnym czerepie,
w kłębi myśli, które pomyślę.

Gdzie MAM, jest zarazem CHCĘ,
gdzie zło równa się dobru,
gdzie głód mój i mój cel,
i oś,
i obrót,
i obrót.

o, radość diogenejska,
o, jedność czasu i miejsca,
o, laska musująca!

Nie zasłaniajcie mi słońca.

Noe

Kiedy Pan światu gniew okaże,
ty weź, Noe, zwierząt po parze.

Nim wystygnie ostatni atom,
Noe, Noe, ocal przed zatrąą.

Noe, któż by na Pana sarkał,
póki ty, póki twoja arka!

Będziesz wołał: „Hej, tygrysy! Wielbłądy!”
a ogłuchną zatopione łądy.

Będziesz wołał: „Hej, bawoły! Krowy!”
a nie wyjdą z imieniem Jehowy.

Będziesz wołał: „Hej, żółwie! Myszy!”
a nie będzie niczego krom ciszy.

Będziesz wołał: „Synowie! Synowie!”
a gdzie człowiek, co tobie odpowie?

I nim chluśnie Pan ostatnim deszczem,
będziesz wołał sam siebie jeszcze.

A i tego nie posłyszysz, i tego...
Już nie będzie pod niebem Noego.

Piosenka papierowych

Nie jesteśmy tak jak oni,
nie jesteśmy ołowiani,
nas dotknięcie dłoni
rani.

My jesteśmy papierowi,
kolorowi,
nędzni,
tani.

Tamtych nocą w tyglu pławią,
z rozpalonych lepią kropel,
żeby zalać Europę.

My jesteśmy papierowi,
nasze życie okamgnienie,
nas ołowiem podziurawia.

Oni – rosną nad płomieniem.

Wtedy biada nam, papierkom:
umieramy nad fajerką.

Kosmonauta

TWOJEJ GLINY DALEKI ODPRYSK
TWEGO CIAŁA ZGUBIONY ODLAM
ZIEMIO MATKO NIEDOBRA
CZEGO SZUKAM W OTWARTEJ NOCY
TWOICH LIŚCI TWOJEGO NIEBA
TY MNIE ZIEMIO PRZYWOŁAJ PRZEBACZ

TWÓJ NIEPOKÓJ I TU MNIE DOBIEGŁ
JESTEM Z CIEBIE ZLEPIONY CZŁOWIEK
I MÓJ GŁÓD MOJA SYTOŚĆ W TOBIE

ROZWIESZONY W CZASIE PRZESTRZENI
PEŁEN ŚWIATŁA TWOJEGO I GŁOSU
WOŁAM WYRWIJ NA POWRÓT Z KOSMOSU
ZIEMIO
PROGU ZIELENI

Dialog

Ja ślepe wołanie, a ty?
Ja jestem głuchy i niemy.

Jak siebie odnajdziemy?

*

Gdy listek na twarz ci upadnie,
co mówisz?

O, kropla światła!
Ja nazywam go chłodnym pluskiem.
Jesteś milczącą pustką.
Ty – strzęp niewidzialnej przestrzeni.

Co my o sobie wiemy?

*

Słyszę, zobaczyć nie umiem.
Widzę, nie umiem posłyszeć.
W ciemności jesteś.

W ciszy.

Milczenie widzieć, to na nic.
Ciemność słyszeć, to jeszcze ciemniej.

Tylko ciała nasze potajemnie
dążą nocą do swoich granic.

Sum qui sum

Nie wiem kim – wiem, że jestem sobą.
Jestem nie liść, jestem nie kwiat, nie obłok.

Nawet nie wiem, kto byłam do wczoraj –
może gałąź, może pień, może kora?

Wiem, że w ziemi próchnica zgniła,
i nie będę j e s t e m , będę b y ł a m .

Potem

Jeżeli POTEM na świecie
zostanie choć jedna sosna,
i zieleń, i słońce w zieleni –
nic się nie zmieni.

Jeżeli ta jedna sosna
wyda inne sosny po latach –
nie będzie, zaprawdę nie będzie,
NIE BĘDZIE
końca świata.

Wróćę

Ja tutaj wróćę na pewno,
korą powrócę,
wrosnę sokami wewnątrz
w zielone pnie.
Chyba że światu będzie krócej
niż mnie.

Módlcie się

Módl się za moje zbawienie,
jodło – żywico,
sosno – płomieniu,
dębie – korzeniu,
brzoza, brzoza,
i ty pomyśl o moim zbawieniu.
Za myśli zielne,
za ciszę we mnie,
za żeglugę ku liściom dalekim,
do kukulek, do paproci, do gniazd,
za igliwie na wieków wieki
módl się, jodła,
brzoza, brzoza,
las.

Wykrot

To jest po wojnie wykrot,
tu pocisk przebił ciszę.
Łuska.
W łusce niebo się pluska
i łuska szyszek.

Drzewo draśnięte i kamień,
ale zieleniej jeszcze,
gdzie zalepianie gniazda,
gdzie mech mądry, mądra trawa zarasta.
One zawsze mądrzejsze,
one będą nad nami.

Soldat inconnu

Nie rodziłem się na bohatera –
i bez tego czasem tak się umiera.

Nie buławę miałem w torbie, ale trwozę –
ona gnała mnie na wroga i w ogień.

Strach nosiłem na sobie jak piętno –
za krwawiące stygmaty je wzięto.

Pomylili ze swoimi herojami,
nad mym lękiem modlą się czasami.

I gdy palą znicze u mej mogiły,
zmartwychwstaję, choć i na to nie mam siły.

Narodzona z protestem

Narodzona z protestem
NIE, NIE, NIE –
tylko dlatego jestem.

Nie odwołać mi pierwszego oddechu,
nic po łzach, zaciśniętych pięściach,
Cóż, że nie chcę mego nieszczęścia,
nie chcę mojego NIE –
pierworodnego grzechu.

Nic po łzach, nic po sprzeciwach:
jestem – bezwolnie żywa
poprzez krzyk niemowlęcia.

Nie chcę zawsze i nie chcę wszędzie,
własnego buntu więzień.
Nie chcę!
Niech stanie się NIE!

Ale mnie,
mnie już wtedy nie będzie.

Kradzione

Pani Irenie Krzywickiej

Gdy umarł stary rabbi Wahl
i go anieli w niebo nieśli,
czego tam przy nim nie znaleźli!
On tyle rzeczy z ziemi pobrał –
wszelakie zła, wszelakie dobra:
tam koza była jego bube
i z piachu odgrzebany rubel,
i brat, i świeczki, i lejkechy,
i jakieś płacze, jakieś śmiechy,
jakieś wspomnienie białych pończoch,
i jakieś sny, co się nie kończą,
i kolor traw, i zapach lasu,
i on sam był za różnych czasów –
to wszystko świątobliwy Wahl,
co niby żywym dawał przykład,
na zawsze żywym z życia wykradł.

*

Rabbi mówił: człowiek to złodziej,
kradnie obrazy oczami,
kradnie dźwięki ledwie zasłyszane,
a potem z tym wszystkim odchodzi
na wieki wieków amen.
A jakeś, braćmi, w klatkę złowiony –
no to cześć pieśni:
choćby cisnęła de z każdej strony,
mujesz się zmieścić.
Byli tacy zuchwali –
za granicę pryskali,
swoją klatkę na sobie nieśli.

Strasznie będziesz w tej klatce zamknięty,
i po ciemku widać ściany i pręty.
Na jednej ścianie sianokosy,
kroplami cieknie zapach sosen,
mży wilgocią uliczka,
gwizdże syrena wilga nad miastem,
kółko graniaste czworokanciaste,
dymią latarnie piwniczne.
A jakeś złowiony, brachu,
w klatkę światła, dźwięku, zapachu,
to będziesz z nią chodził wszędzie,
bo to najgorsze z więzień.

*

Za linią wzgórz jest rudo płasko
ten smutek to metafizyka
mój ślad co zatarł się na piasku
tak mnie tam ciągnie tak odpycha
wiem horyzontu nie przekroczę
w tym płocie deski nie wylamię
po linii wzgórz jak linoskoczek
chodzę na pamięć
jest coraz smutniej tam na wzgórzach
jest coraz smutniej wiem dlaczego
wszędzie gdzie już się nie powtórzę
tkwi w niepamięci coś mojego

*

Powiedział świątły rabbi Wahl:
to taki Jego elementarz,
On stworzył świat – i nie pamięta.
Z tych skrawków, co je znajdzie przy nas,
On sobie świat przypomina
i weźmie wszystko od złodziei,
i po kawałku całość skleci.
Trzeba nam dzielić się z Jehową,
On ciągle stwarza świat na nowo.

*

Nie wierzę w Boga Ojca,
nie wierzę w słowo boże,
świat po mojemu tworzę.
Ja się Sądu nie boję,
u mnie cudze jest moje.
Depczecie po moim globie,
a ja go buduję na sobie.

*

Jeżeli chcecie – wybaczenie,
jeżeli nie chcecie – pod sąd,
tylko oddawać nie każcie,
ja to wszystko zabiorę stąd.
Ja nie oddam tego za nic w świecie,
ja to niosę przez całe życie
i spalę, jeśli mnie spalicie,
i zakopię tam, gdzie mnie zakopiecie.

Yorick

Ani mu śmierci majestat,
ani memento mori:
i tam chichotać nie przestał
poor, poor Yorick.

Szydzi obojgiem dziur,
na wiatr suche kości szczyrzy,
poor Yorick, very poor –

on umie nie żyć.
Śmiechem przebił powłokę skał,
drwiną igliwie rozpruł,
wytoczył się z mchu na powrót
zawzięty Nic, Jenó Klaun.

I jest, i jest uparcie,
żywym gębom lustro i śmiech –
błazen, co dawno zdechł,
zewłok, co musiał sparcieć.

Śmierć, co nikogo nie boli,
śmiech, co nikomu nie zamilkł –
poor Yorick, oh, poor Yorick,
święty, mocny,
śmieję się za nami.

**Nietoperz, czyli dwoistość
(1963-1965)**

*Wolę cykutę
niżli pokutę*

Nietoperz, czyli dwoistość

Nietoperz kiedy ukradkiem mad sadzawkę ciszy
rozważa czy ptakiem jest – czy formą uboczną myszy.

Rozważa w koło i w skrętach. I z tej i z tamtej strony.
– Czy jestem mysz wniebowzięta? Czy raczej ptak potępiony?

— Ni łapy to ani pióra. Nie wiedzieć ktom zacz ni co zacz.
Czy ptasia karykatura? Czy mysia apoteoza?

To mi sen dzienny truje. To nocną jasność gasi
że w ptactwie mysi się czuję a w myszowości ptasi.

– Czemu mi dziób odjęto? Czemu ogona nie mam?
Czy ptakom jestem m e m e n t o ? Czy myszom jestem poemat?

– I po cóż mi fruwać w ciemność skórom ja mysz z
przyrodzenia?
O wzlotów moich daremność! O górna schizofrenia!

– Być ptakiem lub myszą na dobre – o ileż byłoby różniej!
Kto zgryźć mi pomoże problem? Kto zlać mi pomoże dwie
jaźnie?

Lecz znikąd ach znikąd pomocy. I oto dzięki czemu
nietoperz krąży co nocy wokół własnego problemu.

Małpie sny

Protoplastom
było liściaste.
Błotnie.
Zwrotnie.
Zwrotnikowe.
Pnie w rozwidleniach palców.
Niebo na dół głową.
Przedrzeźnianie.
Zwis na cztery ręce.
Podrygi w parnym ukropie.
I nocą marzenie jak błysk
o potomku –
o pitekantropie.
I jesteśmy
z rozwidlenia nie tych pni –
twardostope wnuki
wyliniałotwarze.
Homo sapiens:
satyra na małpie sny –
gorzki kres człekokształtnych marzeń.

Bajka o nagim fakcie

W ramach cywilnej odwagi
fakt postanowił być nagi.
Wydał odgórne wskazania
sprowadził dwóch speców od obnażania
i zażądał by utkali mu nagość na krosnach –
po czym przywdział ją i wyszedł na dwór tak jak powstał.
Wszyscy wołali:
– Wiwat!
Nareszcie fakt obnażony! –
I na trąbach trąbili.
I dzwonili w dzwony.
– Oto zaświtał nam dzionek
w którym fakt się podaje bez obślonek! –
I tylko jakieś dziecko na przekór oklaskom
krzyknęło:
– Tato!
Czy on ma twarz pod tą maską?

Bajka o gwizdku

Miał dać swój koncert.

Był złoty. Był odświętny. Jarzył się jak słońce.
Wspaniałymi trelami wzbierała mu grdyka.
Czuł że go muzyka zatyka.
Już na najwyższe tony krtań swoją nastroił.
Wszystkim był. Od altówek do oboi.
Miał w sobie Mozarta. I Bacha. I Brahmsa.
Tu się dlań poczynała artystyczna szansa.
Tyle lat w nim tłumili polot.
Dzisiaj go nie zniewolą.
Chcieli go zbrutalizować. On im głębię pokaże.
Wniesiono go.
Te same twarze.
Nieomylną intuicją wrogi szept wyłowił.

I zagrał.

I wbiegli posterunkowi.

Buty, czyli metoda myślenia

Buty
to problem niemały.

Buty
maskują nogi by się nie ujawniały.

Buty są
żeby człowiek zezuć je mógł
w przypadku wątpliwości co do bytu nóg.

Buty
za pomocą nagniotków
udowadniają że sedno jest w środku
nie gdzieś poza butami lecz w rzeczy istocie:

Buty są przydatne społecznie piechocie.

Buty
zdradzają metodę myślenia
tego kto dowodzi sensu ich istnienia.

Lew i pchła

Był sobie lew
krwiożerczy niewątpliwie
i była pchła w lwiej grzywie
co lwią spijała krew.

Mówili jej życzliwi:
pchło
on się tobą pożywi.
To drapieżnik.
Krwio pijca ponury.
Wpadniesz w jego pazury.

Niby jest potulny jak kotek.
Niby cię wcale nie dostrzegł.
Ale jak sobie zęby ostrzy
to na ciebie pchło
wiedz o tym.

Więc choć pchle
nie było źle
w lwich kudłach
lecz ze strachu marniała i chudła.

Coraz głębiej się wciska w lwią sierść.
Co ukąsi
to czeka na śmierć.

Aż się jej układ nerwowy załamał
i pewnego dnia
pchła
sama
zagryzła lwa.

Stąd morał najmilsi moi:
nie ten mocny kto mocny
ale ten kto się boi.

Pies i ogon, czyli rzecz o psychoanalizie

Pies pewien
przebiegły nad podziw
zauważył że coś za nim chodzi.
Że się za nim coś szwenda wszędzie.
Że trwa przy nim i przez noc
i przez dzień.
Tak jak on biegnie truchtem
i do ziemi przypada.
Że gdzie on tam i TO
się skrada.
Spojrzy zezem – widzi to jak na dłoni.
A chce złapać wprost – w kółeczko goni.

Myśli pies:
— Szpieg. Ścisłej wróg.
Zagryzłbym go gdybym mógł.
Cóż to za bestia
długa
kudłata!
Zaraz przypuszczę atak.
Jest! Nie wywikła mi się z łap. –
I zębiskami cap!

– O rety!
Ratujcie wszyscy psi protopłaści!
Cóżem za skarb zaprzepaścił!
Uciąć sprawę tak cenną! Tak drogą!
To był mój ogon.

Morał:

kogo przeciwność losu dręczy utrapiona
niech się z nią zaprzyjaźni –
lepiej mieć zadrę w jaźni
niżli żyć bez ogona.

Ballada o moście

Most był – most nie poddany dróżnikom.
Most był długi a znikąd donikąd.
Szli po moście w niedzielę z niedzieli
a o sobie że nim chodzą nie wiedzieli.

Co się ona przybliżyła brzegom –
on uchodził od mostu daleko.
Co on wrócił żeby z brzegu na brzeg –
to się ona umykała zawsze.

Most był jeden a we dwoje na moście
żeby zrosły się dwojaki miłości
żeby zesli się – kochali zaznani
przecież dwoje a most jeden dla nich.

A to było o szarówce nad wodą
jak ich dwoje w jedną mgłę wywiodło.
I skończyli romans ledwie nie spełniony
i skoczyli z mostu we dwie inne strony.

Triumfatorom

Nie triumfujcie nadmiernie –
prędzej schną laury niż ciemię.

Lojalny

Góruje nad bliźnimi
niezwykłą lojalnością.
Nawet powiesił się z nimi.
Szczęściem w porę się odciął.

Autentyczny

We własne wpatrzony oblicze,
górnym natchniony niczem.

Spowity problemów gęstwą
zapada w drętwe jestestwo.

Z elementarnej potrzeby
estetyzuje niebyt.

Łowi w czwartym bezmiarze
dogłębię rozkojarzeń.

Ognikiem świętym błyska
w nicości grzędawiskach.

Piękniejąc od siedmiu boleści
formę obnaża z treści.

Okrzyk niemej idei –
strzała Zenona z Elei.

Lwi pazur

Powstał we mnie tak zwany uraz
na punkcie lwiego pazura.

Więc do lwa idę od razu.

– Proszę – powiadam – o pazur.

Lew parsknął śmiechem i:

– Pazur – powiada – lwi?

Lwi pazur? Na pani łapie?

A jak pani kogoś podrapie?

A jak pani komuś puści krew

to kto za to odpowiada?... Lew?...

Ja nie drapnę. Ja uważam na to.

I dlatego dobrze mi za kratą.

Motyl skazany (1966-1967)

*Gdyby myśli nasze miały ciało,
zawsze by się poza sobą mieszkało.*

Lotowa

Profesorowi Zygmuntowi Mysłakowskiemu

Nie oglądaj się Lotowa –
tam w obłoku spada Bóg.
Nie podpatruj pańskich dróg.
Idź bo kazał iść Jehowa.
Nie oglądaj się Lotowa.

Ty się ciesz bo Lot ma głowę.
– Sądzić – mówi – boska rzecz.
Ja nie patrzę żono wstecz
i ty wstecz nie patrzaj żono
bo zapłacisz za to słono –
tak Lot mówi do Lotowej.

Nie oglądaj się Lotowa
kto zapomniał będzie żywy.
Ty pamiętaj dyrektywy.
Ty się ciesz – On cię przechowa
dla pokoleń sprawiedliwych.
Już w tym żono męża głowa.
Nie oglądaj się Lotowa.

Nie oglądaj się Lotowa
już minęło tyle lat.
Czemu patrzysz nieruchomo?
Piach ostygły nad Sodomą.
Czego stoisz skamieniała
jakbyś ciągle nie wiedziała?
Jesteś tylko sól i kamień.
Jesteś tylko ból i trwoga.
Ty oglądasz się – na Boga! –
Ty oglądasz się Lotowa?

Nike

Runęły mury paryskie
ni stąd ni zowąd otworzył się świat
i nagle ocean blisko
i na schody kamienne wpadł
i zalał woźnych i muzeum
i turystów zatopił hurtem
i był ocean i trwał ocean
i bił ocean o burzę
i o dziób galerii potęcał
i jej stopy obmywał nagie
gdzie była ona – wiodąca
ona żeglarz – ona ster – ona żagiel
gdzie była ona bezgłowa
jak są ludzie bez rąk bez nóg
gdzie była ona – bóg
nad żywymi nieżywy – zobacz
oto jest oto płynie bezruchem
materia nad materią
duch nad duchem
patrz: milczy do nas krzykiem
patrz: leci skamieniała
przedmiot bezduszny
myśl bez ciała
Nike.

*

My jesteśmy tacy czy tacy ale w jednym jesteśmy ci sami –
my fruujemy tylko po nocach kiedy nie widzi ma nikt
a w dzień powłóczymy nogami
powłóczymy nogami
nogami
choć nocami inaczej nam się śni.
Kiedy od morza podmuch
kiedy powieje muzyką
kiedy biegną obłoki pod wieczór granatowy
my z ziemi skokiem w górę
my stąd które znamy donikąd
ażebym głową w niebo jak Nike – Nike bez głowy.
Ale podmuch muzyki cichnie
ale noc granatowa blednie
i jest nasz dzień powszedni i nogi nasze powszednie
i tylko ona zostaje i ona za nas biegnie
bo ma skrzydła choć nie ma głowy –
ma skrzydła bo nie ma głowy?

*

Nike
Nike zwycięska

ty jesteś żagiel i ster
ponad falami wieków
dziejom ludom na przekór
Nike — vogue la galčre!
Choćby ci wszystko zabrano
Nike – skrzydła zostaną
nikt nie zatrzyma cię
nie wierz
ni ziemia ni powietrze
ty musisz pędzić przed siebie
ty będziesz wierzyć w siebie
i krajać sobą przestrzeń.

*

Mówili:
nie fruwać w dzień
mówili:
nie fruwać nocą
mówili:
jeszcze nikt z fruwania pożytku nie miał.
Mówili:
nie fruwać – po co?
Ziemia – mówili –
o
ziemia.
Pokazywali:
ziemia.
Ale była uparta bardzo i zadzierała nosa
mówiła że nigdy – nigdy do ziemi nie przystanie
więc ją palili na stosie to im runęła ze stosu
więc jej ucięli głowę bo myśleli że tam jest fruwanie.
A ono jest nie tam
a ono bywa wszędzie
w skrzydłach i w piersiach i w stopach
i w sukni na wiatr podanej
i wiatrem bywa w piórach i w biodrach bywa rozpędem
i śmiała się jak odtruwała od głowy postradanej
ziemia – wołała –
o
ziemia!

*

Ziemia –
jak tu skrzydlatej do ziemi?
Racje –
jak tu nie wzlecieć nad niemi?
Racje
rezon
rozsądek –
a tu skrzydlaty rozpęd

tu orzeł tu szybowanie
tu naprzód niepowstrzymanie
tu nieustanne święto
tu triumf z głową odjętą
tu Nike
Nike po prostu
a ty się świecie rozstap.

*

Błyszczą dwa tyłki: Złotej Joanny i koński.
Stąd widać gębę głupiej Wenus Milońskiej.
Kukły i lalki grzeczne paryskie maski.
I nagle bunt samotracki!
I nagle ogień warszawski!
Jeśli rzecz której sens odbiorą
bezgłowa zmartwychwstanie
można jej mówić przetrwanie
można jej mówić przekoro –
czy można jej mówić Nike?

*

Polska a nie francuska nie grecka ty z Samotrake
Nike ty za nas fruważ
Nike bądź za nas ptakiem
iześ niepowstrzymana
iześ nie zniewolona
bogini zwyciężaj dla nas
bogini powracaj do nas
locie skuty kamieniem
ściętej głowy marzenie
Nike leć ponad nami
poprzez bezruch i kamień
byśmy cię powtarzali
byśmy się buntowali
amen.

Wesele

Przyszło skwarne pod dom
po dziewczynę
dwie noce krążyło
dwie noce wabiło
na Inę.
Na swoje upały zabrało.
Teraz już ukapane ciało
po kąpeli
topieli
czarne w spienionej bieli
od szyku w szpilkach włoskich
w Zaduszkach dusznej wioski –
Jezu siostró siostrzyczko!
W tym wrzasku
oniemieniu
niosą duszę biedną na ramieniu.
Do wesela z aniołami jadą deski.
Do wesela psalm czarnoleski.
Do wesela od zaduchu gromnice.
I pies.
I dzwon na oblubienicę.
Parny dzwon topieli
którym ją przed weselem zamknęli.

Joanna

Przystanąły nade drzwiami niebiosy
wzięły drzeć się matce wniebogłosey.
Przyśliście mi tu po swadźbie do dom
ale ja wam Jaśki moji nie oddom.
Oddasz matka na Prześliczną Panienkę
na szatana
na krzyż
na mękę.

Dwa świniaki dać mogę wam za niom.
Myśmy Gabriel. Myśmy Michał Archanioł.
Myśmy Przenajświętsza Maryja.

A co w posagu?
A pierzyny dwie na skrzydła anielskie
a poselstwo archanielskie
a koszula biała
żeby dobrze w płomieniu czerniała
a takie tam zachciewajki panieńskie.
A umiesz ty skład apostolski?
No to biegaj dowodzić wojskiem.

Jak wyglądali swaty?
Płaszczki mieli we gwiazdy.
Wielki miecz nosił każdy.
Michał Gabriel przerastali ją o głowę
nosy mieli obtłuczone
ślepią mieli wytrzeszczone
jak to święte gipsowe.
A co do Przenajświętszej Paniunki
to spotkała Ją w lachmanie u Męki
no i poszła z tej żebraczej poręki.

I było tak
jak się każdej zachciewa w Domrémę:
taka procesja ze śpiewami chorągwiemi
a tu ona z włosami rozpuszczonymi
a tu kwiaty – lilie i róże
i krzyż i monstrancja w górze
a tej Jaśce to dobrze
piękny za życia pogrzeb.

Nie zaślubiła króla
nie zaślubiła Boga
chciała zachować wieniec
na procesję na całopalenie
na śliczną kalkomanję
na świętych obcowanie
na imię Joanna.

Rety rety już płomienie
zapomnij co twoje sumienie –

zaprzyj się Joanna!
Matka mnie chowała
swoje milczeń kazała
nie zaprę się.
Rety ciało od kości odpada
Jaśka cholera gadaj
zaprzyj się!
Jestem chłopska dziewczka
nie postąpię ni zdziebka.
Mój upór moje milczenie
moi święci
mój płonący wieniec
mój biały welon – dym
moja biała trumienka – popioły.

A z tłumu się gapiły
słowem nie przyświadczyły
swaty archanioły.

Ślepa babka

Ślepa babka.
Zakręcili mną.
Szukaj szukaj gdzie twój świat? Gdzie dom?

Gdzie przy rynku spięta mostem rzeka?
Sklep miodowy? Ślazowa apteka?
Dokąd babciu? Do miasta.
Po co? Po kawałek ciasta.
Ślepa babka ślepa ślepa ślepa!

Okręcimy tobą raz i drugi
żeby ci się wszelki ślad zagubił.
Potykaj się szukaj po omacku
młóć powietrze daremny wiatraczku.

Jak dogonisz – nie podglądaj przez chustę.
Jak pochwycisz – przytrzymaj pustkę.
Nie odwijaj zawiązki z czoła.
Musisz wierzyć w coś tam dookoła.

Gdzie przycupnął twój świat?
Na grzędzie.
A to szukaj go wszędzie.

Innego nie będzie.

Raj utracony

Zabroniłeś. Więc zjedliśmy je.
I nie wiemy co dobre co złe.

Zabroniłeś. Miało winny smak.
I nie wiemy co tak co nie tak.

Zabroniłeś. A to było podmawianie.
Odkąd wiemy nic nie wiemy Panie.

Ani mądrzy teraz ani prości –
nazbyt wiele mamy świadomości.

Utraciliśmy czegośmy nie mieli –
odtąd nic już nie będziemy wiedzieli.

Zabroniłeś. A to była pułapka.
Daj nam Jabłko Zapomnienia Jabłka.

Zabroniłeś. Nie opuszczaj w biedzie.
Daj nam znowu że nie wiemy nie wiedzieć.

Zabroniłeś. Teraz bądź litościw –
zabierz nam świadomość świadomości.

Latający Holender

Tam gdzieś złota okrągłość sera.
Zieleń trawy.
Rude tulipany.
Tam ramiona błękitnych folderów
ubijają strop z niebieskiej porcelany.

Tam zostało.
Tam jest.
Tam nie czeka.
Tam przede mną na zawsze ucieka
to błękitne
to rudozielone
ta wyryta w mojej pamięci
Ziemia która się kręci
w inną stronę.

Mówią o mnie Latający Holender.
Ja nie latam. To lądy odbiegły.
Ja na brzegu już nigdy nie będę.
Latający jest zbyt. Zbyt odległy.
To on błędny. On obłąkany.
On mnie wodzi przez oceany.
Jawi mi się po nocach nieraz
i wyrzuca na sypkie mielizny.
Wtedy ktoś z mej załogi umiera
od widoku ojczyzny.
To przekleństwo. To zhora nocy.
To przeszłości śmiertelny dotyk.
Strzeżcie się swoich ziem wracających.
Nie ufajcie Holandiom lotnym.

Im prawdziwsze – tym bardziej obłudne.
Jeśli całe – nie ujdą cało.
Gdzie zbyt złote – zbyt zielone – zbyt rude –
tam nic nie ma... nic... nic nie zostało.
Tam o świecie stopnieje wszystko
przed ostatnim odpływem mroku
i oddali się wasz dom i dzieciństwo –
wasz przekłety
wasz wieczny
niepokój.

Poezja

Nic
utrefione bardzo.
Falszywy czek
na otwartość.
Test pamięciowy półgłówka.
Przebrana łamigłówka.
Kreatorka na ćwierć etatu.
Vanitas vanitatum.
Głębi splatana psota.
Psyche
w papilotach.

Wywiad z owocem treściwym

Istotą rzeczy JA moje nabrzmiało.
Spadam zbyt wcześnie. W pełni. W doskonałość.

Jam najwspanialsze z jabłek tego drzewa.
We mnie jest żywy sens. Z niego dojrzewam.

Tak piękne bo mnie własna niemoc gnębi:
sedno bolesne wypróchniałej głębi.

Pierś moją zżera cudowne cierpienie.
Ono narzuca mi kształt i rumieniec.

Trwam zasłuchane w śmierć moich wnętrzności.
Wy nie pojmiecie zdrowe tej piękności.

Zielone wzniosłym bólem nie dotknięte
nie upajacie się słodkim fermentem.

Nie znacie pustki którą jady jątrzą –
to mam przeciwko waszym krzepkim mięszom.

Sokiem opływam. Ból me wnętrze pieści.
Rusza się we mnie robak mojej treści.

Cykuta

Imię nagle ma jak cykady w trawach objętych słońcem
imię suche
za ostre imię
imię jadem wężowym kipiące
imię cierpkie – w nim błękit cykorii
wiotkich płatków przywiedła gorycz
imię chłodne jak wnętrze amfory.

Gdyby wiedział to o cykucie
gdyby w słowie dźwięki barwy chciał dostrzec
toby nie szedł im naprzeciw
toby uciekł
przed goryczą – chłodem – przed ostrzem.
Gdyby psa miał
gdyby wiewiórkę
zapach wody znał smak tataraku
gdyby dźwięki widział barwy słyszał w imionach
toby został w imię dźwięków zapachów.

Nie wiedział.
Znał tylko mądrość.
Zatrzaśnięty w mózgu jak w kuli
umiał żyć – nie oddychać niczem.
Nie dowierzał kobiecym biodrom
nie doceniał złotych błysków cebuli
nie hodował cienistych doniczek.

Barw i dźwięków tu nie zostawiał
nie pragnął ich mieć nie tutaj.

Sokratesie
nie wiesz jaki smak miała cykuta.

Beethoven

Kwiat nie ma brzmienia tam u was. A we mnie
dźwięczy łodygą i liśćmi i sokiem
w tonacji wiotkiej i nasłonecznionej.
Mówicie: głuchy. A przecież zaledwie
słyszycie zapach i gorycz i ciemność
i ledwie rzecz od rzeczy rozróżniacie tonem.

Za morzem dźwięków moich ruszajcie ustami.
Nic nie zagłuszy świata który we mnie zamilkł.

Nie chcę pamiętać. Chcę zawdzięczać sobie
nowe brunatne – czarne – rude dźwięki
tony piekące zardzewiałe cierpkie
kolczaste triole i fermaty obłe.

I mógłbym ślepy być i dwakroć tak bogaty
w te które we mnie działałyby się światy.

Mówicie: głuchy. Tak. Bo moje tętno
zagłusza waszych światów muzykę konkretną.
Nie chcę jej. Póki jesień gamą słońca dzwoni
idźcie.
Nie tłumcie we mnie gorzkiej polifonii.

Życie

Do umierania
dodatek nadzwyczajny!
Triumf rozpanoszonych komórek!
Fenomen
niesytego spalania!
Nie-pow-ta-rzal-ny nonsens
dążenia do zera!
JEDYNA rzecz
od której się umiera.

Kamień kwitnący

W jakąś godzinę przedświtną
kamień
sam dla siebie zbyt niespodzianie
zakwitnął.

Tak właśnie
nad bryłą szorstką
słowo ciałem się stało
bezruch – gałązką.

A nie z tych wawrzynowych – rzeźbionych –
nagrobnych
ale z tarniny drobnej.

Głód zaszumiał wewnątrz kamienia
kamień pęczniał
kamień zieleniał
ciekły soki w kamiennym cieple
żeby pojął że jest
przez zieleń.

Ażeby chciał jeszcze i jeszcze
ażeby w nieskończoność
w słońce
powietrze
wilgoć zieloną.

Dawniej było mu wszystko jedno
teraz pragnął istnieć –
teraz więdnął.

Że słowo ciałem się stało
od tego umierało.

Ogniu

Ogniu!

Trzaskające ciepło,
które podpalasz ciemności
Nim zapanujesz nade mną,
niech się łudzę, żeś mi uległo.
Nie musisz smażyć Darczanki
ani Bruna całować w usta.
Pełzaj teraz w kępach macierzanki,
obnażaj szkielety chrustu.

Nie spalono Joanny, Joanny nie strawił pożar,
lalka za nią zgorzała.
Czterdziestu męczenników zmarło w czterdziestu łóżach.
Giordano w domu się ukrył.
Na szafot poszły kukły,
trociny się sypały przez ich bezgłowe dala.
Teraz chichoczą po nocach, krążą bezczelne fantomy:
Maria Stuart nie ścięta,
Andrzej Chenier ocalony,
zmyśleni,
wyrwani śmierci,
pod murem nie straceni,
w komorach nie uduszeni —
oni nie mogą umrzeć,

oni trwają jak wyrzut,
oni wracają, jak Ten, co nie zginął na krzyżu.

Ogniu!

Trzaskające ciepło,
które palisz na stosie cienie!
Nie zapanujesz nade mną.
Ty jesteś to, co wskrzesza —
jesteś wspomnienie.

Motyl skazany

Śmierć

jedna drugiej osobna
tak bywa innej podobna
że kiedy osypujemy się ze światła do mroku
trzeba myśleć o nas werdyktem
nie wydanego wyroku.
I jest przy świecach wysokich
nad wlotami otwartych na wiatr okien
sąd
bezapelacyjnie daleki dnia
znów ginie ćma o ćma o ćma
o a u miękki bełkot
oddech ciszy
pryska skrzydełko
uchyłanie bólem ciemności
płomień w białe wnętrzości
jak to ładnie jak barwnie aż do skrętu jelit
rozskrzydli się wyanieli
niepotrzebny nie mrówczy nie pszczeli
urok chwili.

Czemu żyjesz uparcie motyli?
Komu na złość kolorowy?
Dla jakiej się różnisz niewidzialnej ozdoby?
Ta chęć błysku – to na jaką przekorę?
Po co?
Przylegaj do nocy skoro
wyklułeś się w noc.

Z paragrafu spraw nocy
na mocy naszej niemocy
za nieprzystawanie cieniem
skazujemy was na całopalenie
na ciało w płomienie świec.

Niemowa jeśli barwą co powie
kto uwierzy niemowie?
Bo ten syk ostateczny w płomieniu
to tyle
że sobie po imieniu
mówi światło umierające:
cieniu!

Marzę
że znów się zapoczwarzę.
Że larwą i maską
w kokon ujdę waszym zachwytom oklaskom

niełaskom.

Że znowu śnić będę o mnie –
kształt przewidziany w kokonie
antycypacja własna.

Że nim kolor z poczwary powstanie
na zewnątrz – larwa błazna
wewnątrz – oczekiwanie.

A może mnie pędzić każecie –
mnie! –
po ulicach

Czerwonego Wschodu i Prawomyślnego Księżyca
w papierowym kokonie na łbie?

Już bym ciemności nie przebiegi –
motyl żyje od błysku do błysku
na jeden zachwyt światła w sobie.

I znowu gromnice

ogniska

skwierczy w płomieniu purpurą Giordano

błąd śwędem się odciska

drogi powytyczano:

od światła – uniewinnienie

do światła – sam chciałeś w płomienie.

Więc jak? Biec prosto w ognie?

Więc jak? Zamilknąć w kokonie?

A jeżeli ku wielkiej winie

wykluję się nie w tej godzinie?

A może tak świat zamroczyli

że nie będzie już dnia

dla motyli?

Nie – ja się nie pomyliłem –

to są moje miejsca i pory.

Jestem sygnał ognisty przez ciemność.

Zmierzchły kształty kolory –

ja krzyczę dzień który przede mną.

Lecę ku niemu skazaniec

zrodzony na śmierć

nim ze mnie wstanie

świt.

Skopje

Nie nazywał grzesznych po imieniu.
Nie podawał przesłanek.
W pewien wrześnieowy poranek
zagrzmiał
i nie pozostał kamień na kamieniu.

Jak to?
Dla jakiej idei?
Za czyją winę? Czyją karę?
Bez proroctwa?
Bez MANE TEKEL FARES?
Bez odrobiny miejsca dla nadziei?

Nie wskazywał drogi zbłąkanej Europie.
Nie wyklinał pokoleń judzkich.
Zagrzmiał
i zburzył Skopje.

Nieludzki?

Wycieczka

pamięci Janusza Korczaka

Spalona wycieczka.
Maluchy w krótkich porteczkach.
Co zaśpiewamy
kostki w pobielanym dole?
Piosenkę o dzieciolo?
A może EL MOLE RACHMIM
EL MOLE?

El mole
el mole rachmim.

Wycieczka nad ognisko.
Wesoły dym.

Proszę pana oni mnie pchnęli!

Skarżyć nie wolno – kto uwierzy skarżypycie.
On nie odrósł od ziemi – nie odrośnie.
Niech nos utrże
niech śpiewa głośniej
taki tam oskarżyciel.

Głośniej przez wapno i piach tak żeby anieli pogłupieli:
czemuś mnie opuścił Eli Eli?

Klasy

Tam na środku podwórza
stoją Lilka i Róża:
znów się istnieć uparli,
jak to bywa umarłym.

Ja nie pójde, nie pobawię się z wami,
mnie nie wolno z umarłymi dziewczynkami.
„Chodź, Joaska, zagramy w klasy!”
Mnie nie wolno, wy robicie grymasy.
„Chodź, Joaska, za kamykiem poskacz!”
Mnie nie wolno, wy mówicie z żydowska.

Tam na środku podwórza
stoją Lilka i Róża:
entliczek, pentliczek,
rzucają kamyczek.

A kamyczek za blisko się toczy,
żeby można do nieba doskoczyć.
Nie doskoczę, ja nie mam siły,
one mnie i tak przegoniły.
Bo to niebo jest całkiem na górze,
trudno gonić Lilkę i Różę.

Tam na środku podwórza
Stoją Lilka i Róża:
im kamyczków nie trzeba,
doskoczyły do nieba.

Navigare necesse est

Temu, który nie zmartwychwstał.

Płynęliśmy, tatusiu,
przez gwiazdne oceany,
przez oceany gwiazdne,
przez niewiadome bezdnie,
po morzach zapoznanych.

Czekały nas, tatusiu,
nie urodzone lądy,
wielbłądów archipeląg
i wyspy jak wielbłądy,
i Bóg, i Agamemnon,
a tyś miał jechać ze mną.

Wierzyliśmy, tatusiu,
gwizdowi lokomotyw,
i były sny niemądre,
i jazdy szlakiem kołder
poprzez kwiecisty motyw,
odpływy i odloty,
nim księżyc trzykroć złoty.

Są wraki, martwe ściany,
są maszty wypalone,
ty jesteś sternik niemy.
Przez gwiazdne oceany
na twój samotny piach,
tatusiu. Robinsonie,
tatusiu, dopłyniemy.

* * *

Jeden drzwi kopniakiem rozwalił,
drugi szyby obcasem tłukł,
wzięli, rozkołysali,
wyrzucili oknem na bruk.
A nie jęły kamienie głucho,
nie szepnęły, nie miały siły,
tylko fruwać się zachciało poduchom
i pierzaste wniebowstąpiły,
i uniosły starą, jak leżała,
że był anioł z puchu i z ciała.
I znów widzę, acz dymem oślepiam,
jak przez ganku kolumny
sprzęt podobny do trumny...
Nie. To krew gołe bruki oblepia.
Nie. To płoną domy w Tomaszowie.
Nie.
To łóżko.
To kołdra.
To człowiek.
Fryderyku, gdzie twój fortepian?
Wynieśli go... runął... runął...
Gdzie ideał, co runął na bruk?
Może tam za pierzastą odfrunął?
Już nawet krwi nie ma.
Milczy późny wnuk.

Umarli

Na jaką drwinę
zamieniacie w glinę?

Na jaką drwinę?
Dlaczego?
Kto nas będzie lepił do żywego?

Układacie w foremkach ciasno –
czy mamy puchnąć jak ciasto?

A może
z ziemi wykipieć na wiosnę
przerośniętym chlebem?

Głupcy.

Jak nam się z gleby otrząsnąć
skoro
czynicie z nas glebę.

Kain

Wisławie Szymborskiej

Jakże
zabronicie oddechu?

Jestem
nieodzowność krążenia zbrodni
w żywym krwiobiegu.

Jestem
który was upoważnił
abyście mną oddychali.

Czemuście znieważyli?
Czemuście obłożyli
mnie właśnie
imieniem Kain?

Dawid

Nie dlatego
iż celnie trafia –
a dlatego
że się nigdy nie zachwiał:
wierzy w nieomylność kamienia.

Jest czas wykańczania Goliatów.

Trzeba wtedy bezwstydu
i proc potrzeba Dawidów
na wytaczanie krwi.

Wtedy
milczeć muszą sumienia.
Nie ruszają do walki prorocy.

Tłum biegnie za chłopczykiem
który przyszłość otwiera kamykiem
który wielkość mierzy kamykiem
wyrzuconym z procy.

Dialog z milczeniem

Za cenę milczenia
za cenę odległości piachu trzech sążni
my
krew krwi wyczonej
my
kość zbiałej kości
pijemy kawę i troskę o
przeżywamy papucie i gniew
sprzedawcy wspomnień domokrążni
handlarze urazów
komiwojażerowie strachu.

Stąd nie słyhać
z wymiaru do wymiaru –
ile
jakich jednostek
głos musiałby biec?

Milczycie
nie dokrzyczycie
zagłuszeni biciem
żywych serc.

**aporemy, czyli rozmyślenia
przed lustrem
(1968-1971)**

*Już pojęli ze szybciej odradza się las –
i ciągle róż im żałować nie czas?*

lustro

1

Lew spojrzeniu gazeli pozór lwa zawdzięcza.
W źrenicach much pajęczosć rodzi się pajęcza.
Dzięki myszom lis lisiej postaci nie gubi.
Komarze oczy wróblom dają pieczęć wróbli.
Lustro nas się nie boi –
nie widzi nas prawie.
Jakże nam się w człowieczej utrzymać postawie?

2

Świczka ma papiery wariackie:
siebie samą spala – i przemija.
O ileż większym cieszy się blaskiem
lustro
co przezornie ją tylko odbija.

3

Wśród obiektywnych luster
prawda
trąci oszustwem.
Pośród odbić wypolerowanych
obraz rzeczy jest dokładnie nie znany.
Odwrócenie tu oznacza naprawę –
któż by wierzył w subiektum koślawe?

4

Nim w nie spojrzę –
zapieram się tego co minęło.
Narzucam moim rysom niepamięć.
I kiedy już wiem że wiernie sobie skłamię –
odważnie
patrzę na moje dzieło.

sąd

1

„Który z was sądzi że bez grzechu jest
niechaj rzuci w grzesznicę kamieniem!”
... I wyrosła góra kamieni
na nieszczęsnej Marii Magdalenie.

2

Ślepa.
Wyczuwa tylko kiedy waga drży.
Ciężar bierze za winę i feruje sądy.
Czy zawsze uniewinniać będzie lekkie wszy
a skazywać juczne wielbłądy?

3

Salomonie! Strzeż się!
Nie zakreślaj koła!
Nikt samic oszalałych zatrzymać nie zdoła.
Już dorwały się.
Wrzeszczą.
Ciagną.
Cóż za jatki!
A jeśli dzisiaj wśród matek nie ma prawdziwej matki?

4

„Sądzę że Kartagina powinna być zniszczona.”
Łatwy sąd
gdy obrona
skona.

woda

1

Czy
od stworzenia świata
knuła alibi dla Piłata?

2

– Ojczy! – wołał. – Bliżej! Bliżej promieni!
To nic że nam skrzydła opadną
jeśli do morza runiemy
by za słońcem
za słońcem iść na dno.

3

– Po nas potop! – oświadczył któryś tam Louis
doskonale bawiąc się rządami.
A w co mamy się bawić
my
skoro potop był przed nami?

4

Nie wytryśnie.
Chociaż jest opoka
jest źródło w niej ukryte
jest łaska proroka.
Ale brak łaski
która spływa poprzez widzów i oklaski.

5

– Człowiek to myśląca trzcina. –
O tyle mianowicie
o ile
przedłużona przez własne odbicie.

6

Swoją głębię unaocznia dokładnie.
Potencjalnym królowom

udziela
azylu zabiego na dnie.
Zachowuje ślady przejść i cięć
jakich lekkomyślna woda nie pamięta.
Czcigodna studnia.
Święta.
Wyschnięta.

czas

1

Zegar słoneczny skraca byt Złotej Epoce
milczeniem pomijając
noce

2

Szczęśliwy o czasie nie pomni.
Stąd –
potomni.

3

Przed zwierciadłem
ja zegar
prawdę o sobie odgadłem
o moje odbicie pogłębiwszy rzecz:
otom
całe życie
wędrował wstecz.

4

Gdzie czas jest najlepszym lekarzem –
pełne są tawerny i cmentarze.

5

Ząb czasu
szczutych
kąsa w dwójnasób.

6

Czas to pieniądz.
A zatem
sklerotycy najwyższą miewają zapłatę?

sztuka

1

Paw
estetyczny acz głupi
w sto źrenic pysznie wachlarz swój roztoczył.
Ale
czym by się chlubił
gdyby nie Argusowi wylupione oczy?
Dzisiaj modro. Turkusowe. Złoto.
Wczoraj olbrzym ślepią stokrotnie wykrwawił.
Więc te straże wielookie są po to
by zostawał po nich
motyw pawi?

2

Że nie zbrodnia reklamy
że reklama zbrodni warta
przekonał się Salieri mordując Mozarta.

3

Oto
co mi się marzy:
znowu ujrzeć maski
zamiast twarzy.

4

Co za sztukmistrz!
Jak wąż wokół siebie się okręcił.
Istny kręgosłup rzęci.
Wylewna spowiedź mięśni.
Sam sobie przeciwstawny
z ciałem walcząc o lepsze
w stan nie ludzkości przeszedł.
Już nie człowiek.
Już plazma.
Już pozakształny potwór.
Bujające swawolnie mięso.
Rozzuchwalony nowotwór.
Rozplatał się.
Wstał.
A my
nim brawem przerwiemy ciszę
chcemy wiedzieć:
z jakich pozycji pan wyszedł?

5

Inter arma sileni Musae –
oprócz tej
co jest na górze.

sługa

1

„Nie wymawiaj mi służby
Wasza Dostojności!
Jakże lwy moje będą tyć z plebejskich kości?
Aby nasze bestiarium pojadło po uszy
każ
siać herezję
pośród
tłustych patrycjuszy...”

2

Pies ogrodnika jabłek nie tknie –
przecie na służbie skorzysta:
sumienie sobie wyszczeka do czysta.

3

Czemuś umyła misę niewolnico Salome?
Toć lepiej aby zostały ślady morderstwa widome.
O sługo!
Gdzie dowody zmyte
tam zbrodnia staje się mitem.

4

„Oto mój sługa – Kichot.
Z mej laski pańskiej żyje.
I tylko z gorąca
Ja
Sancho
w cień służebnika się kryję”.

wiara

1

Wór pokutniczy.
Stopy bose.
Tak cesarz odwiedził Canosę.
Tak szpetnie obnażony
by nie odarto go
z korony.

2

Res sacra miser.
Święta rzecz niedola.
Więc niewielu pragnie chodzić w aureolach.

3

Cechuje go wierność dawnym ideałom.
Zwłaszcza
że z nich mało co zostało.

4

Więc po tylu męczeństwach
tylu egzorcyzmach

tylu nietolerancjach
inkwizycjach
schizmach
po tylu manifestach
ofiarach
sztandarach –
żadnej góry w dolinę nie przeniosła wiara?

5

Wierzysz w Boga – powiadasz.
Lecz będąc w potrzebie
czy nie modlisz się raczej by On uwierzył w ciebie?

oko

1

Nic lepiej oczu uchronić nic zdoła
niżli miedziane czoła.

2

Polifem
jedno miewa oko –
za to jakże wysoko!

3

Lunetę odda niejeden generał
za ślepe oczy
Homera.

4

Darmo wdziewamy różowe okulary.
Świat po nich
dwakroć szary.

5

Koniowi przed ubojem
zabrano okularów dwoje.
„Nareszcie widzę perspektywę!”
I padł nieżywy.

sen

1

Stokroć gorsza poddanych dręczyłaby zmora
gdyby nie ich wiara niezachwiania
w koszmar
snów gubernatora.

2

Częściej bywają wyjęte spod prawa
niż jawa.

3

Sny mieli militarne i z agresywnej sfery –
wbrew zapewnieniom na jawie
trzeźwym sojuszom wbrew.
Aż wyszły sny w mundurach
na place
na skwery.
I sny za łby się wzięły.
I senna pociekła krew.
I wyróżnęły sny tych wszystkich co je obłudnie śnili.
Nim kto zdążył krzyknąć przez sen:

LUDZIE!
MOŻE BYŚMY SIĘ OBUDZILI?

4

Kiedyś
ostrzegał skutecznie
przed erą chudych kłów.
Teraz –
już wiemy niestety o bezcelowości snów.

5

W pewnym kraju
przepehnione były wszystkie więzienia
albowiem
karano tam za sny
niemożliwe do udowodnienia.

litera

1

Jakaż osława
po latach
zohydza
tych co trzymają się litery prawa
odczytanej przez krótkowidza.

2

Zecer pijany postradawszy twarz
strzelał zające literami z kaszt.
Niemądra to rzecz i niedobra
dla prywatnego dobra
lokować oświatę
w combrach.

3

W strefie źle stosowanych liter
ZASZCZUTE bywa ZASZCZYTEM.

4

Przed ucztą wszystkich mędrców lwom na pożarcie wydał.
Więc kiedy ognisty palec
wypisał na murze MANE TEKEL FARES –
nie zadrżał Baltazar przed ową przestrogą.
Bo nie było na dworze nikogo
kto by to przeczytał.

5

Pewien literat –
nie teraz i nie tu –
wkuwał kalendarz zamiast liter alfabetu.
A że wszelka nauka pilnym opłaca się
zdobył laur literacki
w przyswojonym czasie.

6

Człowiek nie umiera:
żywcem
grzebie go litera.

7

Pies głodny co wałęsał się nad Rubikonem
rzucił się naprzód słysząc że KOŚCI RZUCONE.
Psie głupi!
Nie nasyci głodu metafora!
Któż bierze à la lettre słowa dyktatora?

proroctwo

1

Kasandry nie słucha nikt – nie ize wyklęta przez boga.
Kasandry nie słucha nikt
bo cóż nam tu wieszczka złowroga!
Kasandra złorzeczy plugawię.
Posłuchu kłamczucha nie miewa.
O radości!
Oto u bram
śliczny koń z cedrowego drzewa!

2

Achilles
uodporniłby się do ostatka
gdyby go z troską zbytnią nie trzymała matka.

3

Falszywi nie wróżą nocy
Nocą śpią fałszywi prorocy.
Mroku nie znają – są szczerzy.
A szczerym
lud wierzy.

4

Gdyby wszystko było z góry wiadome
czy targowałby się Pan
o Sodomę?

odwaga

1

Nic mu odwagi bardziej nie obrzydza
niżli
brak widza.

2

Stół
zdobył cztery odznaczenia
dla nóg stołowych –
za odwagę milczenia.

3

Centaur na brak odwagi nie narzeka –
dzielnie swej dwoistości broni:
stawi czoła w dobie kultu człowieka
zadu nadstawia gdy czas ochronny dla koni.

4

Skunks
z wiadomego wyśmiany powodu
krzyczy;
mam odwagę smrodu!

5

Gdzie prawda nie jest naga –
obnaża się
odwaga.

6

Bezbronny.
Kropka go nie potwierdza.
Nawias nie osłania.
myślnik nie daje rozgrzeszenia.
Cudzysłów nie ocienia.
Znak odwagi –
znak zapytania.

7

Najbardziej moje
jest
czego się boję.

kamień

1

– Lece! – wołał. – Lekki! Motyli!
Myślą mnie uskrzydliłi!
Wyzbywam się bezwładu kamienia!
To idea
to duch mnie odmienia!
O! fruвам!
O! Z jakże daleka
trafiam
niemylnie
w człowieka

2

Don Juanie wolny dziś od wierności –
nie obawiaj się kamiennych gości.
Skoro miłość nie pomni o sobie
któż by o nią upomniał się w grobie?
Don Juanie! Anno! Nie ma dzisiaj cienia
co by mógł przerazić wasze serca z kamienia.

3

Aby wierzyli potomni –
ociosano kamień na pomnik.
Dano mu wymowę i fason
iżby świadczył o czasach czasom.
Położono na szalę kamienia
brzemień cnót
ciężar imienia.
Teraz dźwiga z dumę godny łeb.
Już nie będzie meł mąki na chleb.

4

Utopia alchemików ma optymistyczną puente:
te kamienie –
choć filozoficzne –
w nikogo nie zostały ciśnięte...

wolność

1

Mając ugór
krwią wroga przesiąknięty
posiali na nim wolność.
I weszły im pręty.

2

Czy z tej czy z tamtej strony krat
mędrzec
przez kraty widzi świat.

3

„Rosnąć! – mówiło drzewo. –
To jest wolność właśnie.”
„Latać” – wołał ptak.
Słońce: „Świecić jak najjaśniej!”
Po czym zaczęli panować po prostu.
Słońce nad ptakami
dając im wolność świecenia.
Drzewo nad słońcem
dając dyrektywy wzrostu.
Ptak nad drzewami
każąc im bujać w przestrzeniach.
Aż nic nie pozostało z udręczonej przyrody.
Rację mają ci co mówią
że wolność czyni szkody.

4

On dokładnie zna cenę wolności.
On sypie Monteskjuszem.
On szacuje ciało niezależne i duszę.
On wie jak bezbłędnie wybawić świat.
On –
producent krat.

mit

1

Czy inną stałaby się Ksantypa
gdyby ją uprzedził kto
o archetypach?

2

Nosiłem
tych Dwoje
w Nazarecie.
Ich jedyny ślad –
śląd na oślim grzbiecie.
Przekonałby was o Nich ten dowód od razu
gdyby go nie zatarły
ślady
waszych razów.

3

Mniej komfortowe mity
są tylko dla elity.

4

Iż bajka jest bajką zaledwie
stwierdził
na własnym ciele
gdy go wśród psów serdeczni zjedli przyjaciele.

5

Gdyby Midas był sługą jedynie –
któż dawałby posłuch trzcinie?

6

Jakże trwać mogą w pokoju narody
skoro mit o kośćcu narodu
jest kością niezgody?

słowo

1

Wyleciało zaczepnym wróblem.
Miało wołem powrócić za chwilę.
Nie wróciło w ogóle
bowiem
zadusiły je słowa-motyle.

2

Na początku było Słowo.
Kiedy je odwołasz
Jehowo?

3

Chciano słowa sprzedawać na wagę:
nie ważyły nic prawie.
Na sztuki chciano ciąć je:
trzymały się kurczowo obiegowych fraz.
Więc opakowano w gotowe formuły.
Teraz
we wstążkach
w zwojach bibuły
o wiele więcej kosztują nas
niż w dawnej surowej prostocie.

4

Na maskaradę stów
nad ranem –
nie wiadomo jak –
wkradło się słowo
przebrane
za fakt.
Otoczyły je słowa pełne niepokoju:
– Jakim prawem przychodzisz tu w codziennym stroju?

głód

1

Nie pojmą głodnego syci.
Głodny –
kęs ostatni mu sprzed nosa chwyci.

2

Głód pewien –
skóra i kości –
podrwiwał z tłustej sytości.
Że nic w niej z porywów duszy.
Że z miejsca się nie ruszy.
Że sadło zalało jej oczy.
Że przy samej ziemi się toczy.
Że jej za słodko
za dobrze.
Słowem –
że nie ma wzniosłych potrzeb.
Na to sytość:
„Pora byś tę prawdę pojął.
Z ciebie nie kpią.
Ale przy mnie stoją”.

3

Rzecz ma się jak najprościej:
wielkie herezje
powstają w wielkim poście.

4

Iż mu ziarna w porę nie dano
ptaszek
własne pożerał guano.
Fe ptaszku! To niesmak budzi!
Człowiek zjada najpierw innych ludzi.

sprawiedliwość

1

„Kto w ciebie kamieniem – ty w niego chlebem.”

Ba!

Skąd znaleźć tyle maki pod niebem?

2

Dzięcioł

zaczne ma przywary:

oto puka do celi

przed egzekucją ofiary.

3

Nic tak nie wślawia epoki

jak niesprawiedliwe wyroki.

4

Gęsi

Rzym ocaliły pono.

Czemuż to

orła

na herb dano rzymskim legionom?

ogień

1

Ogień Joanny d'Arc
z płonąca rozpoczął targ:
– Czy
kiedy cię trawię
to się marnotrawię?
Czy też płonę ku naszej sławie?
– Przeklęty — jęknęła Joanna. – Imię twoje na wieki będzie
potępione!
– Ha! jeżeli na wieki
to dalej płonę.

2

Nie otoczył miasta kordonem.
Nie zabronił uciekać nim się ogień rozszerzy.
Dlatego
w przypadku palenia
jestem za Neronem.
Przekładam estetów nad innych szermierzy.

3

Za osiągnięcie w pełni doskonałe
uznano
bojowość zapalek.
Ze względu na:
głowy zapalem nabite
zapłon przy odgórnym nacisku
krótkotrwałość błysku
oraz
powszechny użytek i pożytek.
I za to że nawet w odwróconej postawie
bez reszty potrafią spłonąć
oddaniem sprawie.

4

Gdybyś skradł
Prometeju
wodę albo powietrze –
miałbyś może powody do skarg.
Lecz wykradać sposób na Giordana Bruna i na Joannę d'Arc –
to iść z samymi bogami o lepsze!

5

A może myślą że SENS tylko z płonących krzaków się wyłania?

I po to podpalają świat
by dostać
nowe przykazania?

nauka

1

Encyklopedyści
udowodnili że rewolucja to rzecz naukowa.
Ale niejaki monsieur Guillotin
jeszcze większy zrobił przewrót
w głowach.

2

Właściwie na tym świecie wszystko wyjaśnione.
Może by tak przejść
na drugą stronę?

3

Poszła w las przemawiać do kamieni –
już się mech świadomie zieleni.
Głazom imiona dała.
Już utwierdza się w sobie skala.
Źródłom przypięła znaczenie –
już zgłębiły się do cna strumienie.
Już nie krzewi się las –
siebie docieka.
Jałowy
jak pewność człowieka.

4

„Wiem że nic nie wiem.”
I od Sokrata
głupcy pojęli iż są pępkiem świata.

5

O miłości nauczał
lecz
aby się ziścił
potrzebował ludzkiej nienawiści...

umieranie

1

Od jakiego antydogmatu
zemrze się antyświatu?

2

Hełm zdawszy potomnym na rondel
na rożen zdawszy miecz
na kuchtę Dulcyneę –
na co miał zdać nadzieję?
Zdał ją na żart
i tyle.
Aby zasuszonym motylem
wypadała spomiędzy Cervantesowych kart.

3

Nigdy nie przejdą przez ostateczną metę
umieraniu oddany Chrystus
umieraniu oddany Prometej.

4

Matematyczna pokusa:
powiesić się na wstędze Moebiusa.

5

Mówiono
że wtacza powracający kamień –
a to właśnie było bytowanie:
odpychanie głazu co na powrót zstępował.
Chwała Bogu że dla nas ta praca
nie będzie syzyfowa!

sprzęt

1

Miotła
to idealistka.
Wierzy święcie
primo:
w brudów radykalne uprzątnięcie
secundo:
w wieczne odradzanie się śmietniska.

2

Drabina
bezczelnie nas mamy –
bo jeśli już dążenie wzwyż
to po co przegradzać je szczablami?

3

Dla tacy
wszystko cacy.
Uprawniona do postawy optymistki –
czy można jej zarzucić że nie widzi dna miski?
Żadnego do tragedii powodu
skoro świat niewątpliwie płaski
aczkolwiek rzetelnie brany od spodu.
Wszelkie opuszczenie dłoni ją mierzi.
Ach!
Dźwignąć by rzeczywistość na poziom nadstawionych piersi!
A gdyby doszło
do załamania lokajskich rąk –
czujnie
służyć
za gong.

4

Dzban bez ucha płynąc rynsztokiem
trąbi o sukcesie:
– Dotąd nosiłem wodę
dziś niech mnie ona poniesie!

5

Tylko zwierciadło
bez reszty afirmuje rzeczywistość
w której trwać mu wypadło.

pukanie
(1972-1977)

Poza EGO
nic pewnego.

pukanie

To zdanie
na pewno po Lecu zostanie:
„Kiedy myślałem że jestem na dnie
posłyszałem od dołu pukanie”.

Ale prawdziwe zwycięstwo myślicielom wróżę
gdy pukanie od dołu posłyszają ci
co są na samej górze.

trefnisiem będąc

W tym zgiełku
pomieszaniu zasług
ja
świadek nieśmiesznego czasu
pozostawiona żeby krzyczeć –
lustrom pokrzywiam się
więc milczę.

Wiem:
nikt mi z martwych nie wypomni
że inni im stawiają pomnik
że wrzeszczą nie tak wrzeszczą nie to.

Ja
przypadkowo na świadectwo
z nieśmiesznych śmiesznie ocalona
zakamieniała w głupiej pysze
trefnisiem będąc –
śmiechem
milczę
z głową trwożnie wtuloną w ramiona.

ballada o bzdregu wypieraku

Szanować bzdrega.
Bzdreg jest pod ochroną.
Dla niego uśmiech obły i śliskie zaszczyty.
Nie tępić bzdrega
bowiem jadowity.
Zwłaszcza po burzy kiedy w mroczne kręgi
wciąga wilgotne wypieraki bzdregi
i burzynami wzbiera w słodkie kwiaty
rozsądnie lepki
chyttrze plazmowaty.
Bzdreg nie ma swej natury lub ma niespodzianie:
gdy przyłgnie macką
gdy czujnie odstanie.
Gdy mgłą domysłu bywa.
Gdy mieczem na nitce.
Ciszą.
Tupotem stu nóg przez ulicę.
Wrzaskiem odbitym przez gardzieli sto
i wdeptywaniem w błoto błoto bło
gul gul
by w lustrze zamaryłych już kałuż
w kozuch mydliny spienić się pomału.

Jako ran zarastanie.
Rzęsa co się zwiera
nad głębią. Na powierzchni płasko.
Bzdreg wypierak.

swąd

Już wypełzają z betów nie wietrzone duchy
stary kołtun przyszyja się do nowych mód.

Nocą
zbożnie szeptane w dziedziczne poduchy
płyną pierwsze donosy
i prośby o cud.

Już driakwie
Już blekoty
mocne egzorcyzmy
lalka szpilą przebita
nadpalony włos.
Wzbierają ektoplazmą rozjadzone blizny
i komputery wiedźmom programują stos.

Wnet wrzasną paranoje
zdalnie sterowane.
Zawirują talerze ani wiecie skąd.
I nagle
w nowoczesność
buchnie Ku-Klux-Klanem
metaenigmatyczny
dobrze znany
swąd.

projekt

Krasnoludkami pasiony przez rozszalałe ciocie.
Mać szargający na płocie.
Motylkiem częstowany.
Na śmierć strzelający z kijka.
Normalna
debilna bestyjka.
Dumny z grypy dziada pradiada.
Zbrojny w drapieżność tej
co rodzi go i posiada.
Muszkom wróżkom liczący powydzierane odnóża.
Wróg zajadły gliny i stróża.
Oblęd podwórza.
Brany serio na lep ojcowizny.
Od pieluszek motany w -izmy.
W nasz model wciągany po uszy.
Wykorzeniany z duszy.
Beczulka śmiechu.
Bożek
łaskotany w pychę i w pięty.
Lodami wiecznie ujęty.
Zwiedziony po siódmym niebie
by mógł na nas wyrosnąć
z siebie.

pierwotniaki

Zamknięci w kręgu przemilczanych słów
niedomówieniem na pozór otwarci
na krok wszczep krok wzdłuż jesteśmy nie bardziej
niż pierwotniaki:

Tylko teraz
tu

Albowiem rośnie tworzy się umacnia
wzbiera na fali entuzjasmów gromkich
spada z pradziada na późne potomki
wspólnota nasza bylepierwotniacka.

Dla nas formuły beztroski dekalog
z mlekiem pacierzy z palca wysysany.
Tam żerujemy
kołysani falą
dreńwoty słodkiej i zakodowanej.

A ewolucja na co nam rówieśni?
Wygodniej miewa się wirczyk
od małpy.

Niechaj pierwotniak śpi.
I niechaj prześpi
czas w którym mógłby stać się człekokształtny.

struś

Struś
chowa głowę w razie zagrożenia.
Choć wołaj go i kuś
nie wychyli się struś.
Oto
prawdziwy
struś swego sumienia.

puenta

Bóg stworzył najpierw zwierzęta.

A ja

to niby ta puenta?

giez

Giez
udawszy w zad kobyłę uśmieł się do łez:
– O zgubna skłonności do pięknych kobyłek!
Ta klacz pomnikowa
ma
kamienny tyłek.

tchórz

Przeżywszy lat małowiele
tchórz
zdechł
i przestał być śmierdzielem
gdyż mu w uznaniu zasług wyryto w marmurze
że był tchórzem
i tylko tchórzem
(z pominięciem smrodu).
I choć teraz mniej on tchórzy bardziej śmierdzi
nie to jest prawdą co jest
lecz to
co wypiszą ci po śmierci.

pająk

Był raz pewien pająk
co się srodze zająk –
iwał.

Więc tkął sieć to gęsto to rzadko.

Ułomność
dla estetów
szczególną jest gratką!

dusza garbata

Jak wygląda
dusza wielbłąda?

Pod którym łukiem się mieści?
Czy jest obłoczkiem sierści?
Może kroplą marzeń kaleki?
Modlitwą
na rejs nazbyt daleki?
Balsamem
na wielbłądzie niewygody?
Ostatnim łykiem wody?
Antidotum
na zakazy
nakazy?
Fatamorganą oazy?

Czy też tylko garbatą skruchą
żeby przejść przez igielne ucho?

do gacka

Gacku

żyjący po omacku.

Intucijo skrzydlata.

Ssaku

który na złość innym ssakom lata.

Śpiewaku

którego nikt nie słyszy.

Ucieczko strzelista myszy.

Obrońco

błazeńskich racji.

Szczeblu podniebny reinkarnacji.

Urodo nocy letniej

co na łowy lecisz jak najkonkretniej.

Zaprzeczenie ziemskiego ładu.

Gacku

śnijmy

głowami na dół.

flądra

Flądra
chciała być za mądra:
poszczególnemu nie dowierzając oku
skumulowała
oboje na jednym boku.
Aż – wpadłszy w sieci – pojęła pomалу
jak zgubna jest
kumulacja
kapitału.

pokrzywa

najdumniejsza w ogrodzie
mniema
że nietykalność zawdzięcza urodzie.
Cała w minkach i wdziękach
szepcze do motyli:
– Zabawne!
Ci co się boją blasku mojego piękna
udają
że się na mnie sparzyli.

cebula

Cebula

iście ludzkie ma obyczaj:

każe nam płakać nad sobą

gdy się nam oddaje.

doskonałość

Zbyt późno
zgubność perfekcji pojęła
Arachne
uwikłana
w splot własnego dzieła.

ballada o realiach

Gdy się już pośpią nocni strażnicy
i ront nie chodzi przez miasto
idą przez trawę od rosy jasną
cień szkapy
i cień oślicy.

Dawno już nie ma grubego Sanczy
i słuch zaginął o Don Kichocie
ale co nocy
w smutnej romancy
oślica ze szkapą chodzi.

Próżno byś tamtych dwóch szukał wśród cieni
i to mi wcale niedziwne:
bohaterowie byli zmyśleni
a szkapa
i osioł
prawdziwe.

Materialiści
śmiejcie się z bajek –
fakt jeno liczy się suchy:
tak po ideach nic nie zostaje
a po realiach
duchy.

ballada o pędzie

Pędzimy w przyszłość
piękni i silni
o skrzydłach rozwianych na wietrze.
Ster mamy pewny
napęd niemylny
ale hamulce najlepsze.

Gwiazdy przed nami
szczęście nad nami
przestrzeń kosmiczna nas wola.
Zapłon w umysłach
w sercach dynamit
ale hamulce na kołach.

Świat obrócimy jak wosło w dulce
pryśnie ziemia na raj przekuta.

Lecz ktoś zapomniał zwolnić hamulce
i ciągle jesteśmy tutaj
i ciągle jesteśmy tutaj.

wolność

One już w piersiach miały odlot
w oczach dalekie lądy
po nocach śniły morze obłok.

I była niecierpliwość skrzydeł
w gorączce piór gorący wiatr
i zamykanie gniazda kluczem
odlotnym.

Wtedy im dano bariery w powietrzu
poprzegradzano kraje w niebie
aby
niebacznie
mogły przeczuć:
szczęście to odlot w siebie.

A o świtanu
wczesnym szronem
zbierano te uszczęśliwione
z ojczystych cmentarzysk polnych.

Tak
prawda
już wolne.

prometeusz

Już bezrobotne sępy
już ludzkości kara nie czeka.

Samo zamyka się koło płomienne w krąg człowieka.

Skoro
najgłupszy z nas głupich
aspirant do całopalenia
wynałazca nieczystego sumienia
ludzi z mroku obłupił
wieczny sen im odjąwszy
po sobie.

Aby nas wiek wieków żarła
samowiedza
o niesytym sępiem dziobie.

edyp

Grzesznik opuchłonogi
zachwiany w ciemność drogi
ustami omackiem chwytam
kroplę światła
którą sobiem wydarł
sam.

Rade są ze mną bogi
co otwarły mi siedem bram
co dla moralnej potrzeby
Jokastę zmyśliły i Teby
i pasterza i włócznie i powrót
i zło niezbędne dobru
i karze niezbędną winę.

Mające prawo sądenia
na tej a tamtej stronie księgi przeznaczenia.
Którą czytam
nareszcie jasno
wreszcie bez mozołu
pustym śmiechem
wyszczierzonych
oczodołów.

cham

Och śmiał się!
Z chwiejnej równowagi.
Że zapluty.
Że bardzo nagi.
Że sprośne wyczyniając harce
i to ocalić chce na arce:
to – bełkot czczy
to – głupkowatość
to – „Chamie jam twój tatuś”.

Och śmiał się!
Ojciec Noe
mam cześć przywiędłe łędźwie gołe?
Ty sprawiedliwy
ty zapity
śmierzący worku na zaszczyty.
Śród trzeźwych małp
przytomnych ropuch
ty dumny że pitekanthropus
ty homo sapiens rzygasz w potop
bo właśnie siebie właśnie po to
On?

A On
zdławiwszy pięścią cyklon
ognistym palcem Chama wytknął
by syn zhańbiony zamilkł.

I odtąd
bezwstyd nad wiekami.

Odtąd po wsiach w sobotnie noce
wyją pitekantropy ojce
krzyk ocalonych ziemią targa
i świat kołysze się jak arka
w milczącym przyzwoleniu synów.

Och śmieć się
chamstwo pohańbione
przeciwko ojcom wielka wino?

Zrzuć klątwę.

Powróć mądrą kpina.

Matki
weź pod obronę.

judyta

Tymczasem ostygła wrogość w tych i tamtych namiotach.

Bratały się armie obie

doszedłszy do wniosku że co tam.

Wiedziała:

z głowni bezgłowej nie da się iskry wykrzesać.

Wiedziała:

już tylko milczenie ust Holofemesa.

Pozostało jej:

rozmyślanie

z głową nie swoją w dłoniach zbyt uczynnych

nad przedwczesnością roboty za innych.

naturalizm

Dnia pewnego
o Wielkim Poście
Bóg na ziemię z nieba pospieszył
ażeby zagrać siebie
wiarygodnie
dla pijanej rzeszy.

Ale nawet łotr nie rozpoznał Chrysta
i gdy ten umęczony skonał
wrzeszczeć jąła gawiedź zawiedziona:
– Marny aktor!
Naturalisita! –

święci młodzi

Święci młodzi
zbawieni.

Święci starzy
z nieba przepędzeni
na cztery wichury nędzy:

– A co nam z waszego umęczenia?
Było nieba dochodzić prędzej
gdyście mieli
to i owo
do stracenia!

miara

We wszystkim
znać trzeba miarę –
rzekł morderca
mierząc wzrokiem ofiarę.

dziwka

Kosym ślepkiem zerkna znad piwka
opinia publiczna
dziwka.

Węszy z kim by najlojalniej dzisiaj.
Z byle hasłem obiegowym
gzi się.

Z obowiązku w miłość załganą
w bramach sądu powszechnego
pod latarnią racji stanu.
Później palcem tamtych co z nią nie chcą.
Później śliną ich naznaczy
gęstą.

I znów parzy się z sumieniem łysym
w dzień biały
za psi grosz
jednomysłnej pochwały.

dla klio piosenka

Ta sama którą z win obmyją
że ściśle bywa na swój czas –
czy za to cię rozgrzeszać
Klio

żeś nieuchronna?
I żeś z nas?

Ta sama co Joannę d'Arc
I Noc Świętego Bartłomieja.
Co wieczny o idee targ.
Nadzieja.
Beznadzieja.

Czy śpiewasz lud czy śpiewasz nacje
jednako czcić
że twoje racje?

Żeś przebieranka min i postaw?
Żeś ludziom zbrodnia dosyć wzniosła?
Dowód na ciągłość? Ars humana?

Jedyna spójnia dla nas?
Więc wota wieszać wiarą darzyć
za byle krew
gdy z twych ołtarzy?

Więc łaska ci uświęcająca
żeś ty wrodzona? Żeś krocząca?

W myślach wyznawać
czynach

słowach –

Klio

o

skazo kainowa?

lęku mojego powszedniego

Zazdroszcząc Giordanowi stosu
Chrystusom ran
odstępcom piętna
snuję się blada i przeciętna
wśród marzeń moich i kolosów.

Cykuta pachnie mi we śnie
bohaterowie milczą nadzy
a w dzień
unikam słowa NIE
i drzę o uśmiech władzy.

Więc tropię wzory i pozory
za mitem rewiduję mit
by palił je mój żal
mój wstyd
żem tak obrosła rdzą pokory.

Niech mi wykrzyczą brud swój.
Grzech.
Zaprzaiństwo w ostatecznym kręgu.
Niech rozczarują mnie.

I niech
ośmielą mnie do lęku.

**pierwsze ostatnie słowo
(1977-1978)**

*Myślę więc jestem
jestem więc ginę.
W myśleniu zatem
śmierć ma przyczynę?*

zawiązki

Spojrzała na mnie brzoza
przewidziała
w kopną drogę piaszczystą
gorycz liści zawiesinę gałązek.
I to był jeden zawiązek
mnie.

A drugi
oczy dziurawego muru
na podwórzu z wrzeszczącymi jerzykami.
On mnie opatrzył chmurami
co przedłużała podwórza i mury
do niestworzoneści.
To był mnie zawiązek wtóry.

I raz po raz
oglądały mnie oka pawie
zajęcie szczawie
smugi pajęczyny w październikowej trawie
ach i wrzosy i kłosy i róże i ciernie
żebym cała się stawała z zawiązków
które mnie upatrują we mnie.

Teraz
byle wejrzenie głogu
byle mgnienie frazy o radości iskro bogów
byle szkiełka na betonie przymrużenie
już nagle tam obaczona
już wpisana gdzie indziej
przezieram
z krajobrazu w krajobraz
z olśnienia w olśnienie.

Związana
murem wrzosem kłosem
światem co mnie sobą obdarzył
kołuję po omacku
wewnątrz
przewidzianych dla mnie pejzaży.

wiersze

Podejrzewam je o małość i nieważkość
podejrzewam siebie o słowotok
cieknący na myśl o nadgryzieniu świata.

Nie biorą mi tego za złe
zgadzają się być moją śliną
piszą się na to.

Zeskakują z ust
gotową formułą zająca
obróceniem języka w metaforę
zamknięciem jaskółki w klatce trzech sylab.

Drepczę przez mój krótki dystans drobnymi stopami wierszy.

Spieszę się.
Dotrzymują mi kroku.
Dotrzymują mi słowa.

nieprzytomna

To się dzieje
w mojej nieprzytomności.

Beze mnie
dotyka mnie czas i przestrzeń
tutejszoźniejsza.

Za moimi plecami
zmawia się rzeczywistość dana
w doświadczeniu.

Okoliczności mnie dotyczące
nie zastają mnie w splocie.

I tak nieobecna światu
pochłaniam go
co do kropki
biedronki.

nigdy

To co mi się nigdy nie zdarzy
zgaśnie słońce na dzbanku talerzach
dzwony zatrzyma w pół święta
zmiemie zapach z hiacyntów
zawiesi tancerza
w nieukończonych skrętach
na puentach.

Dźwiękom nawiasy głuche pootwiera
bryłom każde rozwiązywać się opacznie.

Tak zacznie się
to:
koniec świata
który się wcale nie zacznie
bo poprzysięgam sobie
nigdy
nie umierać.

bezkształt

pamięci Zofii Wierchowicz

Jak to się stało
że ty
cała w zmysłach
cała z oczu i palców co świat żywcem biorą
zdałaś go nam –
niegłodnym –
by odejść w bezkolor.

A twoje chore na szpital ptaszyska
ślepiami w które nieskończoność weszła
patrzają nie widzą –
nigdy
nie umrą na bezkształt.

myślala tak

Kiedy jestem przytomna
i przychodzę do siebie
to przychodzę do siebie
i nas jest dopiero
ja.

Bo co nas jest ja beze mnie.
Nawet na matkę tobie za mało.

Bo ty jesteś
moje aż dwie córki.

Ta co była.

I ta co jej nie ma
na córkę.

Tren

Wielkieś mi poczyniła
pustki.
Niewielkieś poczyniła
grudko ziemi
desko przegniła
zetlały strzępie
matuś.

Tylko pokój
niepokój pozamykanych okien
łóżko zziębnięte
ścierpły ze strachu materac.

Gdzie twoje lęki teraz
a widzisz:
a głupie!
a śmieszne!

Już stamtąd ból nie zaboli
już nie zakrzyczy krzyk
już tylko nie.

Nie
nic ciebie w domu żałoby

I pusto nas a jakoby
nie ubył
nikt.

tyle

Czy jeszcze zdasz mi się na co
owinięta w puste płachty słów
przewiązana wierszem
od którego płacą.

Mam was
za swoje –
ciebie mam
ciebie tato
po śmierci.

Idź ty
po cenie twojego lęku.
Ty idź
za cenę dziury wystrzelonej w piersi.

Rozważę na głoski wyrazy
co wydrzeć by z was jeszcze.

Tyle za tyle
tyle za tyle.

Tyle
że sny mam coraz to lżejsze.

rewers

Niekoniecznie stare truposze.
Umarli bywają młodzi:
ten aniołek tutaj to kuzyn
a te tutaj cioteczne siostry
aksamitne wstążki białe rajtuzy.

Na rewersie nie tej już Łodzi
przyczepieni jak wodorosty
do jej dna:
gdzie tętniące bramy gwarne kawiarenki
gdzie stryj mój dziadek mój uśmiechnięty
nie zdejmują z mojej głowy ręki.

A co tam robię ja.

Ciągle żywe stare maleństwo.

Pograżone w miód ich aprobaty
po głupie bezpieczeństwo.

dajšpilke

Po ulicy Gustownej
w miasteczku nad Wolbórką
prosi obdarta blada
Dajšpilke.

Słońce pali deszcz pada
ona tam jest i w kółko:
„Daj špilke”.

Idą dzieci do szkoły
idą matki do gazu:
„Daj špilke”.
Nie dała się zamknąć
ukrzyżować gwiazdą
ona musi tu na Gustownej:
„Daj špilke”.

Oj Dajšpilke ty nie masz innego zmartwienia?

Nie masz palta ciepłego
nie masz pończoch na zimę
ciebie samej już nie ma
głupia.

Czego tak po miasteczku
po ulicy Gustownej
szepczesz w sen mojej matki:
„Daj špilke daj špil”.

tomaszów

A może byśmy tak najmiłsza
wpadli na dzień.

Ech panie Julku.
Już tam za pańską siódma chmurką
pałace
nad Wolbórką.
Już tam za siódmą gwiazdką zamarł
powozów granatowych turkot
cień parasolek w spalskim lesie
szwargot i pisk w jarmarcznych kramach
kogutek przy kogutku.

A może byśmy tak kochana
za siódme niebo w siódmą jesień
w ciszę
co taka sama.

W milczenie bluszczu przez altanki
w ostygły śmiech przez ogród
śmiech śmiech bez Hali Wandy Janki.
I bez nas
którzy tak za dzień.

A może byśmy tak na dzień.
Bezkresny.
Jak niepowrót.

tryptyk dudagraczowy

Jerzemu Dudzie-Graczowi

1

Feretronie
załam się nad nimi
pod ich sloganami w nicość niesionymi.
Schlastaj im te patrzalki ślepiaste
aureolą słodką
malowanym hasłem.
Drzewcem pozłacanym kocie łby rozplataj
gwoździem srebrnym do trzewi sięgnij
ludkom ludzieńkom codziennym
powszedniego mego antyświata.
Których mi nie żal wściekle
po czerwienią skrwawione błyski.
Których mi żal żal żal
po błękit
paryski.

2

Moje monarchy króle:
nie więcej nad wzdęte gule.
Moje tuzy purpuraty:
tyle ile ziemniak parchaty.
Kąty moje tyrany:
co kartofel zimną rdzą poprzeżerany.
Stara moja obok mojej zdziry:
wścibskim kielkiem oczkujące pyry,
Ale komuś każę litosiernie trwać
nad wszystkim tym kartofliskiem
za szaroziemne za opuchłe pyski
za bulwę naszą psiakrew mać.

3

Częstochowski jestem
od gipsowej zezem pamiątki
do korony koronki w ząbki
częstochowski
jak te śnięte aniołki.
Jestem od żarliwości pątników
do słodczy w zatęchłym pierniku.

Od grzechu święconego w kruchocie
do dzwonów lecących nad miastem.
I wy nienawiść moją do tego co własne
a właśnie
odpuście.

ballada o nieumodleniu

Ani co dnia ani od parady
już nie nachodzą dziady
nie nachodzą o nic nie skomlą
ani komu się o niebo upomną.

Nie umodlą chleba
nie umodlą nieba.

A jak słońce uchodzi zewsząd
krzywe cienie u krzyża nie szepczą
nie zawodzą przy ostatniej bramie
o pamięci klepanej na pamięć.

Nie umodlą nieba
choć trzeba.

Jak będziemy nogami przy kruchcie
kto podpowie: do nieba pójście.
Kto się wstawi bezzębną obroną
za tę skibkę chleba już nieumodloną.

Choć nam trzeba.

dziury

Czyście zauważyli
że po naszych umarłych
dziury.

Dziury w ziemi
na zasypianie.

Dziury w pamięci
na zapomnienie.

Dziury w niebie
na przenikanie
ale tak dojmujące
że wdychamy to bezpowietrze
i coraz go więcej
aż zadusi nas
dziurawość
ich nieistnienia.

nieuchowani

Od ciała żywych
odchodzą płody
martwe.

Było stąpać pomалу
było się szanować
jeszcze by się je w sobie miało.

A już.
A zawczasu.

Nie donoszone odrywają się
matki embriony
ojcowie skrzepy
drodzy kochani plazma.

Uszła część żywego –
do żywego
boli.

To wycieka ich życie
z nas.

kamienowanie

Błotem zalany okrzyk
otwarte w popiół oczy
w uniesieniu zastygła ręka
śląd westchnienia wyryty w kamieniach –
tylko to się odcisnie
przetrwa.

Cytrynek w żółtym trzepocie
szczupak w skoku
jastrząb na przelotnych łowach.
Oplaciło się umierać w pół słowa.

Śmiercią
utrwalone za miodu
nie zużyte do puenty uwiędu
żywcem kamienowane
aby przetrwać wieki wieków amen –
Pompea
Herculanum.

nagle zastępstwo

W porę dla nas poumierali
byśmy gęby sobie nimi wycierali.
Dobrze śmierć obrali bardzo prosta
aby w górne durne słowa porosnąć.
Na czas ziemi się zdołali dosłużyć
żeby laurem wzejść na naszych czołach tchórzy.

Dla nich krzyk gardzielią piachem zaciśniętą
dla nich pieśni świeczki dla nas święto
aby kwitli w hasłach naszych i wieńcach
nam
piewcom z nagłego zastępstwa.

ulubieńców bogów paciorek

Umarłszy młodo
spoglądamy ku ziemi przez dziury w niebycie.

Widzimy niemiłych bogom
już poźółkłych szczerbatych już łysych
skazanych
na przeżycie.

My
w uśmiechach i pobożnych westchnieniach
litościwie modlimy się za nich
zazdroszcząc
wściekle zazdroszcząc z głębi nieistnienia
tym
co niepokochani.

kantyczka niedorzeczna

Objawił się o szóstej pięć
przy niedzieli
przed Sądem Ostatecznym.

Okazał się taki mały i śmieszny
że osobistości spadały z foteli:
co co to kpina taki Bóg!

O to chodzi o to chodzi –
powiedział –
to ostatnie z moich mocnych uderzeń.
Musiałem być n i e w i a r y g o d n y .

Teraz przynajmniej wiem
kto
nie zachwiał się w wierze.

pierwsze ostatnie słowo

Może łatwiej przez ciebie zginać
niż dla ciebie wytrzymać
chorobę nieustająca
nieprzyschnięta oparzelino
ułomności rodzima
z ojców ojca.

Moim oczom przydana łusko
moim plecom wstydlive brzemię
językowi wędzidło
myślom ułamane skrzydło
przewino
któraś we mnie i ze mnie.

Żebyś upadała
przeklinała
z nocy na dzień głębiej tobą nasiąkała
złą skłonnością
ułudą swojską
głupkowatą pychą rodową.

Moje pierwsze ostatnie słowo.

Moja wado wrodzona
Polsko.

**za saragossą
(1979)**

Nie po morzu
nie po ziemi
nie po niebie –
w głąb siebie?

więc uciekać od siebie

ukochani ślepcy

Ukochani ślepcy
dzieci Fortuny
wybrańcy o twarzach nieufnych
wypełzają z kątów Nawarry
wyzierają z dziur Pampeluny
zastawiają w zakamarkach Saragossy
nieruchome oka
okulary.
Ciagną swoje niewidome losy –
świty kwity w naręcznym kramie
popołudnia uczone agrałkami
aż podźwigną krzyk najcięższy z wieczora:
comprad!
ultima hora!

w kalahorze nie bardzo podłym mieście

Zalaskocze wzruszeniem do łez
w oczach w głodnych zapachu nozdrzach
zieleń
kolebka i chrzest
brzozowa rozkosz ostra.

Po Ebro fali goniąc.

Naznaczonej bierznowaniem brzezin
sianokosów konfirmacją serdeczną
jakże mnie
kochać inny kraj inne brzegi
innych krajów rajów nieść w sobie konieczność.

Po Ebro fali goniąc.

Po to
po to dalekie wyprawy
w dawność obcość na nic potrzebną
żeby zamrzeć na wspomnienie ściętych traw –
Cyganka młoda Cyganka –
tu na skale
w żółtym kurzu
nad Ebro.

miasteczko obiecane ondarroa

Ja myślałam że tak po miasteczkach nie bywa
że tych schodów do nieba nędzarze nie mają
że filmy
uroda pocztówek nieprawdziwa nieżywa
z bielizną martwą na sznurach
wszerz wzdłuż
nylonową nonajron.

A tu są żyją cuchnące moczem zakamarki
płachty gazet pędzące z deszczem po ulicach
i za to złoto nad nimi:
klatki złote złote kanarki
i cienka ich piosenka
jak obietnica.

katedra w kalahorze

Ten mur
omszały od płaczu pokoleń
gdzie skałę drażą deszcze i uryna
ten mur
stał murem za inkwizytorem
kiedy wyklinał.

Ten mur
żywota koniec i początek
nieodwracalność aż do głazu śliska
ta brama nieba piekła
jest dziś
bramą boiska
gdzie wrzeszcząc gole wbija garść wiernych niewiniątek.

Gdy za katedrą
w smrodliwym zaułku
co mur – ten mur – świdruje na ścieżaj
dwaj malcy osła kłapciatego tłuką
zmuszając go to tańca
jak biskup
kacerza.

za saragossą

Za Saragossą
słońce oczy wyjadło niebiosom.
Autostrada
suszą po brzegi nalana
cieknie ponad bezcieniem
w ślepym bielmie wzgórz
jak fatamorgana.

zaprzańcy

Po germaniach hiszpaniach dalekich
rozwłóczona moja prehistoria.
Jakim meklemburgom kalahorom jakim
wypisać pro memoria.

Jakim znakiem zażegnać upiora
uroki przewyciężyć.
Jaki komu dany ma być krzyż półksiężyc
głaz jaki jaka menora.

W saragossach łamani kotem
paleni po dreznach lipskach germańskich
na mazowszach podkarpaciach garście polskich popiołów
pogubiliście się odmieńcy
zaprzańcy.

Żebym ja się zagubiła w piach glinę
w te podglebia wasze nigdy nie wasze
żeby z woli mojej
z waszej niewiny
ziemi tej się nie zaprzeć.

wierzba w ducha

Więc jak to jest z tą brzozą
która na bij zabij
moja.

Na bij
miotłą z brzeziny.

Na zabij
pod brzozowym krzyżem
dwakroć nie moim
dwakroć na bij zabij moim.

Jak to jest z tą wierzbą
w ducha świętego
mojej
polskości.

**prawo łazarza
(1977-1979)**

*Nieswojo stawać się mitem
skoro nie ma nas przy tym.*

piosenka o fajnej zabawie

Dzieci dzieci
w co wy się bawicie.

My bawimy się w na niby
w nieprawdziwe życie.

W nieprawdziwe życie jakie trzeba mieć
żeby po nim jakby niby śmierć.

W hocki klocki rozwałki łapanki
że to sobie entliczki
że to sobie pentliczki
dylu na badyłu wyliczanki.
Raz dwa trzy pod ścianę
kryję szukam chowane
pałka zapalka pa pa pach
zaklepana rozwałka
piach.

W co się zmawiacie dzieci.
A w to.

A pstro.

A nie zaklepiecie śmierci.

śpiewka w plenerze

Jeżeli popatrzeć na las
z punktu widzenia strategii
tamte sosenki są szańcem
tutaj w jałowcach latryna
la la la lazarecik na polance.

Jeżeli popatrzeć na
punkt wysokościowy
z punktu
reduta.

Jeżeli na idącego człowieka
z punktu
poległy.

żołnierska przyśpiewka

Jeżeli osądzono mundurem
na manierkę skazano i pas
zakuto spiżową przysięgą żołnierską –
o Prawo Łaski nie opuszczaj nas
pozwól żadnemu z nas nie być mordercą.
Daj nam marsze najdłuższe w śmierdzących buciskach
najkamienniejszy sen w okopie najtwardszym
ale spraw niechaj głowa ze strzelniczej tarczy
mózgiem żywym nas nie obryzga.
Niechaj by sława nasza nie szła w pokolenia
niech się nie chlubi męstwem naszym syn i wnuk
o Prawo Łaski usuń nam wojnę spod nóg
odbierz rację istnienia.
Raczej kpina być raczej zabawą potomnych
przetrwać w pamięci świata jako śmiech i bzdura.
Prawo Łaski
odwołaj nas ocal od wojny
nie daj zarzynać ludzi
nam ludziom
w mundurach.

litania pokutnicza

Jak dobrze
że choć oni
w kłamstwie niewinni święci
przez brud ogień idą nietknięci
przez wojnę sprawiedliwi
przez gniew pomstę niewinni niechybni.

Jak dobrze
są nieskazitelni
sny mają z niewinnej materii
sumienia z tęgiego kruszcu
szable miecze z wybornego surowca
krew nie plami ich
uświęca ostrza.

Czyści na duchu ciebie
Michały
Gabriele
czy wymodlą moje zbawienie?

Skoro ja
za myśli prawie nie spłodzone
za ledwie że nie uczynek
za niewłasny gwałt nie moją winę

brudny drżący trawiony płomieniem
nie mam wcale na mizerną obronę
że tamci niezbrukani.

Że królestwo niebieskie dla nich
Moje
piekło na ziemi.

piosneczka o świadkach

Po rozstrzelanych synach
po nie narodzonych wnukach
jakie gorycze.
Cukier aby dowiozą
czy będzie cielęcina.
Życie życie.

Nad klęską bez ratunku
nad spaloną młodością
pajęczyna dni godzin.
Mieszkanie z kwaterunku
kupić nie kupić osiąść
nie odchodzić.

Nitka w pajęczynie renta
jeszcze nitka dodatek
jeszcze nitka jeszcze jeszcze –
i nie zerwą jej nie mają siły.

Pajęczki na jesiennym wietrze.

Ostatnie
co apokalipsę oswoiły.

w starość kantyczka

Oddaliśmy na nic
których kochaliśmy
którzy nas.

U nogi kwit za gaz
u ramienia garnek wybrany
ulatujemy.

Wsysani w naokoło próżnię
przytroczy my jeszcze
tę śmietniczkę tamten motek wełny.

Obciążeni tym co najwcześniej
przeciw temu że wcale nic później.

U palca zdjęcie
co czyje
nie wiemy
liczymy dni więcej mniej w portmonetce.

Aż i słowo utrzymać nie chce
i wtedy my
buch
od rzeczy.

piosenka o aniołach stróżach

Stoją anioły stróże
stoją
przegradzają na pół podwórze
i:
nie chodźcie
szyb nie wybijajcie
w ustępie nie podglądajcie
drzwi nie zostawiajcie na oścież.

Potem
każdy swoje dziecko bierze
na pacierze
na swoje pięterko na swój balkon leci
i pomaga bardzo celnie od góry do dołu
opluwać
inne dzieci
innych aniołów.

wyliczanka piotra szymona

Dojść do istoty rzeczy
po trzykroć jej zaprzeczyć
i sobie.

Spamiętać na własne oczy
nie zaślepieć
nie zboczyć
zezem.

Gdzie heroldowa czeladź
przebyć
nie zawczasu umierać.
Wiedzieć.

Głuchnąć na rechot straży
nie porwać się
nie odważyć.
Przetrwać.

Kiedy tamci odstali
iść za nimi o tyle dalej
dalej o miano zaprzańca
z tej odwagi.

Wiernie klamać
byle teraz i tutaj
aż do bólu
do krzyku
koguta.

kantyczka o mesjaszu

I czekają
czekać będą ludzie
nic nie wiedzą że choć przyjdzie nic przyjdzie
bo utrafi nie wtedy
bo gdzie indziej.

A to pobok Chrystusika w Judei
i gdzież by się uchowało dzieciąteczko
wszystkie wzięli wyrznęli.

A to w Akwizgranie
Ratyzbonie
aby zginąć w najpierwszym pogromie.

A to zasmarkany biduś Icuś
aż go Szwaby zagazują w Auszwicu.

A to zbrzydzi sobie judzkie imię
skośnooki przyjdzie na świat w Hiroszimie
ale tam od razu już martwy.

No to gdzie się im narodzisz ty prorok
od napalmu też by płonąć tobie niesporo
albo krwawić w rebeliach Dżakarty.

Nie nie wszędzie nie wschodź na tej planecie
ziemia
zbyt okrutnie kocha ludzkie dzieci.

kołysanka matczyna

Luli śniła
że płonąca żagiew porodziła.
Nie ulękła się synalka
nie zabiła.

W miękkich puchach luli lu maleństwo.
Przed gołębiem
jagnięciem
masz pomocie wilczy pierwszeństwo.

Boś nie w cudzym boś ty w moim powstał łonie.
Co tam
jeśli ziemia od ciebie zapłonie.

Zaniechajcie bogi
przestrogi:
ślepa głucha na jutrzejsze winy
skoro syn jest jej własny
matczyny.

Nie inaczej chwalić będzie niebios
kainowa matka
i Herostratos
i Attyli.

W miękkich puchach luli lu płomieniu.

Choćbyście jej w objawieniu
cały świat spopielili.

niemowlątkom ludzkim kolebanka

Niemowlę ludzkie Herakles
zrodzone z fortelu
na nienawiść do hydry w fałdach mokrych pieluch
słodki morderca wedle dawnego schematu
wrzeszczy NIE NIE swojemu mitycznemu światu
przyniesionemu sobą-na świat.

Nie bacząc na półboskość co go niechybnie czeka
gryzie sutkę Alkmeny z wściekłością człowieka
którego uwiera
świat sobą przyniesiony.

Już dziwkę widzi w matce
łotra w Amfitrionie
chce wojny
chce krwi lwa byka centaury Cerbera.

Aż dorwie się
spali świat gdzie sam siebie uwiera

I tak z siebie samego
spłonie.

meleager gdy płonie

Tak wiedziałem
czuwasz matko nade mną
to już dołę mi zaskarbisz nieśmiertelną.

Tak myślałem
masz mnie żywą głownię
pod siedmioro pieczęci chroń mnie.

Tak wierzyłem
ty nie będziesz za przyczynę.

Nie wierzyłem
przetnę sam pępowinę.

Nie myślałem
będę braci twych morderca.
Smutek strawi siódmą pieczęć serca.

Nie wiedziałem
zwykła rzecz matczyna
matko matko
na świat na śmierć wydać syna.

elektra

Córka

zadżganego w kąpielu.

Jakże mi siostry braci uweselić

którzy pamiętać nie chcą.

Jakże mi po kawiarniach przymilać się stryjom

jak matki zwodzić nie zarumienioną szyją

skoro w łonie moim dojrzewa przyobiecane święto

Dzień Sądu

któremu na wczesną ofiarę zarżnięto

jak wieprza

ojca mego jednorodzonego.

odys

Zakłamywany przez powrotne ptaki
coraz mniej odpoznanym zbliżałem się tropem
aż wiem
nic nie wróci Itace Itaki
tu gdzie mnie czeka obca
podana za Penelopę.

Nie nigdy nie bawiłem się z tym starym psiskiem
co u moich nóg wyzionęło psią miłość.

I tej nocy spać będę u boku kobiety
którą powtarzały syreny i Kirke
a której wcale nie było.

robinson

Wreszcie
a będzie to którejś soboty
skrzypnie furta.

Pies.

Oczy ojca znad Pisma Świętego.

Fartuch matki: to on!

Sąsiedzi przybiegną.

Świece obrus dzban wina:

opowiedz opowiedz.

Wreszcie na mój przygórek.

Wreszcie nie samotny.

Tam

wyjrzę na podwórze

gdzie falą zieloną

nigdy już nie podpłynie wielka nieskończoność.

I będę czekał

w oknie

na żaglowiec.

rachela

Ona przyszła sama tu
w tę swojskość obłąkana.

A obłąkali ją
w Konrada
i w Kordiana.
A zagarnęli ją
w szemrzące słowiańskie słowo
jak różę pod słomę
żeby okryło tuliło.

Poplątali Racheli
i świecę szabasową
i płacz o Jerozolimie
i płacz nad powstańczą mogiłą.

Pragnęli widzieć pannę Rachełę.

A wzięła na siebie za wiele.
Czarny szal
oczarowanie Jankielem
i zapach żniwa
i cień gruszy polnej
i leci liście z drzewa co wyrosło wolne.

I stało się opętanie.
Na sen.
Na chocholi taniec.
Na wieczne nieoddanie
za nic.

Skoro przyszła sama tu.

giordana bruna myśl ostatnia

Jak to
teraz i tu.

Teraz
pośrodku złocistego wieku
na wygasaniu ciemnoty przed najświetlejszą erą.

Tu
w jaskrawości Campo di Fiori.

Więc tobie zaślepiony człowieku
więc twojej olśnionej renesansem historii
aż taki potrzebny błysk
żeby przejrzała dopiero?

pietr odwrócona

Chrystus
matkę trzymając w ramionach
zawodzi.
– Stokroć gorzej ta kobieta umęczona
żem do niej przyszedł w boleści narodzin
a i teraz
leci mi przez ręce:
o czemuś mnie syneczku
wydał
twojej męce.

hiob

Nie
żeś mu dom zagarnął wszystek
trzody i sługi i chudobę.

Nie
żeś mu dzieci
żonę
bliskich.

Nie za to.

Ale przeto Panie
że z Hiobów jest najwięcej Hiobem
boś mu zostawił odczuwanie.
Bo lęk wciąż lęk
i ból bolesny
i gorycz – gorycz.

Oto ugięty do pokory
lichszy o ciężar spraw doczesnych
odarty z łusek rzeczy
wyśpiewa cię w pochwalnym dymie
żeś go tak okaleczył.

Że nędzarz pośmiewisko
ma do stracenia czucie –
nic.
A do zyskania wszystko –
imię.

korona stworzenia

To ja Kain zabiłam brata
to przeze mnie łotra Mesjasz pokutował.
To mój kciuk przeciwstawny
moja postawa pionowa
mnie czynią miarą świata.

To ja czysta aż po brud waszych sumień
to ja aż po karę cudzej śmierci dobra.
To mój Bóg
na moje podobieństwo obraz.
Moje imię brzmi dumnie.

Homo sum.
To ja
korona stworzenia.

Aż tak wiele
nie do wybaczenia.

krótki rachunek

Koniec świata bywa co do grosza
nie wydaje się reszty.

Co do chwili bywa
od której nie ma odsekund.

Co do jednego
od którego nie bywa
nikogo.

Co do tak
od którego nie ma
nie.

ewolucja

Nie z ognia wody powietrza.

Nie.

Ze strachu przed nimi.

Ze zgrozy przed potopem

rybie

wyrosły pióra.

Ptaka

opadł na czworaki

że porwie go wichura.

Człowiek

wstał

byle dalej od prochu gliny ziemi.

Jeszcze tylko

czwarty żywioł

ogień.

On może podrzucić nas

wyżej najwyżej w

strachu w

najdoskonalsze ogniwo.

* * *

Zwiastowany.

Sypkim puchem jaśniejają kasztany.
Kukułki echem się dławiają.
Rzeki jadą
do wód
kaskadą.

Idzie.

Kamień w sobie oceany więzi.
Skręcają się w popiół liście.
Szpaki
milczkiem
lecą z gałęzi.

Jest obok.

Gniją róże w popłochu śmierci.
karpie łypią brzuchami w obłok.
Piach
nieproszony
świeci.

Przeszedł człowiek.

Śladu nawet
po ziemskim globie.

prawo łazarza

Ja ocalony spod muru
sprzed wylotu działa
czy wstałem śliskim ścierwem umarlaka.

Ja nie pamiętam:
była śmierć –
i jaka.

Już
nie wierzę w umieranie prawie.

Wiem
życie jest wieczne
śmierć nigdy się naprawdę nie zdarza.

Tak mówię.

Będąc w prawie
Łazarza.

Spis wierszy

Naprzeciw praworządności (1954-1956)

Don Kichot
Spotkanie w kawiarni
Pomnik nagrobny
Trzy fraszki na krzyż
Naprzeciw praworządności
Pan i pies
Najwyższy wymiar
Kodycył
Delikatesy niebiańskie
Duża pauza
Powitanie herosa
Nike 1956
Samokrytyk
Kałuże

Podróż niepojęta (1957-1959)

Stukam, pukam
Genesis 2
Piosenka o dziwnym ojcu
Ballada o trzech ciotkach
Monolog somnambuliczny
Rozmowa
O Chiquicie urojonej romanca
Tytaniczna o Spodku ballada
Ballada o manekinach
Ballada o upadłym aniele
Parasole
Szyny
Wagony
Zegary
Buława
Miarą wszechrzeczy jest człowiek
Prometeusz
Kompleks niższości
Kompleks wyższości
Kompleks nicości
Niebo nagle
Panu Bogu kolęda
Nadzieja
Podróż niepojęta

Chagall (1959-1960)

Chagall
Żółty pokój
Fragment

Pogrzeb
W nocy
Święty woźnica
Umarły
Czerwony kogut i
Matka
Zielony rabin

Narodzona z protestem (1960-1962)

Muzykanci na gruszy
E pur si mouve
Do jutrzejszego
Boże umieranie
Juda
Łazarz
Boża męka
Świątki
Staruch
Męczennik
Salome
Linoskok
Hiroszima
Miasto
Diogenes
Noe
Piosenka papierowych
Kosmonauta
Dialog
Sum qui sum
Potem
Wróćę
Módlcie się
Wykrot
Soldat inconnu
Narodzona z protestem
Kradzione
Yorick

Nietoperz, czyli dwoistość (1963-1965)

Nietoperz, czyli dwoistość
Małpie sny
Bajka o nagim fakcie
Bajka o gwizdku
Buty, czyli metoda myślenia
Lew i pchła
Pies i ogon, czyli rzecz o psychoanalizie
Ballada o moście
Triumfatorom
Lojalny
Autentyczny
Lwi pazur

Motyl skazany (1966-1967)

Lotowa

Nike

Wesele

Joanna

Ślepa babka

Raj utracony

Latający Holender

Poezja

Wywiad z owocem treściwym

Cykuta

Beethoven

Życie

Kamień kwitnący

Ogniu

Motyl skazany

Skopje

Wycieczka

Klasy

Navigare necesse est

*** [Jeden drzwi kopniakiem rozwalił...]

Umarli

Kain

Dawid

Dialog z milczeniem

aporemmy, czyli rozmyślania przed lustrem (1968-1971)

lustro

sąd

woda

czas

sztuka

sługa

wiara

oko

sen

litera

proroctwo

odwaga

kamień

wolność

mit

stówó

głód

sprawiedliwość

ogień

nauka

umieranie

Sprzęt

pukanie (1972-1977)

pukanie
trefnisiem będąc
ballada o bzdregu wypieraku
swąd
projekt
pierwotniaki
struś
puenta
giez
tchórz
pająk
dusza garbata
do gacka
flądra
pokrzywa
cebula
doskonałość
ballada o realiach
ballada o pędzie
wolność
prometeusz
edyp
cham
Judyta
naturalizm
święci młodzi
miara
dziwka
dla klio piosenka
lęku mojego powszedniego

pierwsze ostatnie słowo (1977-1978)

zawiazki
wiersze
nieprzytomna
nigdy
bezkształt
myślała tak
tren
tyle
rewers
dajspilke
tomaszów
tryptyk dudagraczowy
ballada o nieumodleniu
dziury
nieuchowani
kamienowanie
nagle zastępstwo
ulubieńców bogów paciorek
kamyczka niedorzeczna
pierwsze ostatnie słowo

za saragossą (1979)

ukochani ślepcy
w kalahorze nie bardzo podłym mieście
miasteczko obiecane ondarroa
katedra w kalahorze
za saragossą
zaprzańcy
wierzba w ducha

prawo łazarza (1977-1979)

piosenka o fajnej zabawie
śpiewka w plenerze
żołnierska przyśpiewka
litania pokutnicza
pioseneczka o świadkach
w starość kamyczka
piosenka o aniołach stróżach
wyliczanka piotra Szymona
kamyczka o mesjaszu
kołysanka matczyna
niemowlątkom ludzkim kolebanka
meleager gdy plonie
elektra
odys
robinson
rachela
giordana bruna myśl ostatnia
pięta odwrócona
hiob
korona stworzenia
krótki rachunek
ewolucja
*** [Zwiastowany...]
prawo łazarza